

# PLACÓWKA

TYGODNIK WOJSKOWY, SPOŁECZNY, NAUKOWY I LITERACKI

Redakcja i Administracja: Lwów, Akademicka 3, II. p.  
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Dr. Kazimierz  
Hartleb. — Godziny urzędowe Redakcji i Administr.  
codz. od 9—12 i od 4—6. W niedz. i święta od 10—12



Ceny ogłoszeń: Cała strona 320 Koron,  $\frac{1}{2}$  str. 160 K.  
 $\frac{1}{4}$  str. 80 K,  $\frac{1}{8}$  str. 40 K,  $\frac{1}{16}$  str. 30 K. — Ogło-  
szenia w rubryce „Nadesłane” 1 Korona od wyrazu.  
Prenumerata kwartalnie 12 K, pojedynczy numer 1.50 K.



## POLSKA POŻYCZKA PAŃSTWOWA

MINISTERSTWO SKARBU

Urząd Pożyczek Państwowych i Skarbu Narodowego

MARSZAŁKOWSKA Nr. 154

ogłasza niniejszem, że zapisy na Polską Pożyczkę Państwową 1918 roku przyjmują:

KASY URZĘDU,

**Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, Towarzystwo Kredytowe Miejskie, oraz wszystkie Banki Akeyjne i Domy Bankowe w swych Instytucjach Centralnych i Oddziałach, Towarzystwa Wzajemnego Kredytu, Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowe i inne Instytucje Drobnego Kredytu,**

**a także Kasy powiatowe i Poczty.**

Pożyczka 1918 r. w wykonaniu dekretu oraz uchwały Rady Ministrów z dnia 3. listopada 1918 r. została wypuszczona na warunkach następujących:

1) Krótkoterminowe zobowiązania skarbowe (asygnaty Polskiej Pożyczki Państwowej 1918 r.) zabezpieczają się całym majątkiem Państwa Polskiego i wszystkimi jego dochodami.

2) Asygnaty są wypuszczane w odcinkach po 100, 500, 1.000, 5.000, 10.000 marek polskich, koron w walucie austriackiej oraz rubli.

3) Asygnaty oprocentowane są w stosunku 5 proc. rocznie, przyczem procent jest wypłacany nabywcom za rok z góry przez potrącenie go z ceny sprzedaży, z odpowiednim dyskontem w zależności od daty nabycia.

4) W dniu 1. listopada 1919 r. Skarb Polski wycofa asygnaty w drodze wykupu w walucie, w której asygnaty wydane zostały lub w razie przejścia Państwa Polskiego na nową walutę — w nowej walucie polskiej podług kursu, który obowiązywać będzie dla konwersji wszelkich zobowiązań płatniczych.



## Granice Państwa Polskiego.

Chwila, w której na kongresie pokojowym w Paryżu zapasć mają decydujące dla całej przyszłości naszego narodu i państwa postanowienia, określające obszar, na którym żyć i rozwijać się mamy, jako niepodległe państwo, wymaga gruntownego zastanowienia się nad granicami, do których rościć sobie mamy prawo i obowiązek. Jak roztropny i zapobiegliwy gospodarz, odbierając ojcowiznę swoją we własne władanie, rozglądnie się najpierw przezornie na wszystkie strony, opatrzy kopce graniczne i zbada dokładnie swoje prawa do kresowych linii swego majątku, tak i Polska dziś uczynić to musi, chcąc zabezpieczyć sobie byt spokojny i bezpieczny i jasne warunki współżycia z sąsiadami.

Z takiego założenia wychodząc chcę tu w krótkim zarysie przypomnieć ogółowi polskiemu te zasady wytyczne, któremi kierować się musimy w osądzeniu naszych praw do obszarów kresowych, jakie pragnęlibyśmy zawrzeć w obrębie przyszłych granic naszego państwa. Zaznaczam tu z góry, że nie zapoznając wcale doniosłości interesów politycznego i ekonomicznego rozwoju i ekspansji, ograniczyć się jednak chcę tutaj do tych trzech głównych podstaw rozważania przyszłych granic państwa polskiego, które mają swoje naturalne i wobec całego świata zawsze uznawane uzasadnienia. Rozważyć więc chcę granice nasze pod względem historycznym, geofizycznym i etnograficznym. Sądzę, że tym sposobem najzupełniej odpowiem tym wzniosłym zasadom sprawiedliwości, zawartym w 13 punkcie przykazań świa-

towego pokoju skreślonych przez prezydenta Wilsona.

Jest to prawdziwem szczęściem naszym, iż w przededniu tej wiekopomnej chwili, w której rozstrzygnąć się mają losy naszego państwa zjawily się dwa dzieła naukowe, wartości pomnikowej, przynoszące zaszczyt kulturze polskiej, dzieła, na których oprzeć możemy niniejsze rozważania i wydać sądy, oparte na głębokiej wiedzy i pracy uczonych polskich. Są to już dziś światowej sławy „Atlas Polski“ Dr. Eugeniusza Romera i „Geografia ziem dawnej Polski“ Antoniego Sujkowskiego\*), wydana przy pomocy Kasy im. Mianowskiego w Warszawie w r. 1918.

Ogólny zarys granic, w obrębie których powstało i rozrosło się państwo polskie obejmuje olbrzymi obszar ziemi pomiędzy Bałtykiem, a Sudetami, Karpatami i Morzem Czarnem, wielkości około miliona km<sup>2</sup>. W północno zachodniej części tego obszaru nad średnią Wartą w okolicy Gniezna i Poznania leży kolebka Polski historycznej. Plemię Polan pod rządami rodzimej dynastii Piastów zjednoczyło najpierw pokrewne plemiona na obszarze między Karpatami a Bałtykiem w dorzeczu Wisły i Odry. Tam też dotąd tworzy naród polski zwartą masę zaludnienia na powierzchni około 200.000 km<sup>2</sup>, a więc dwa i pół razy tak wielkiej jak cała Galicya. Ale daleko poza granicami tego ogniska polskości na zachód aż do Nissy Łużyckiej i Odry, a na wschód aż do działu wód Dźwiny i Dniepru i aż do Dzikich pól na południe stanowi ludność polska większą lub mniejszą domieszkę pokrewnych szczepów.

\*) Obydwaj autorowie są członkami Delegacji polskiej na kongresie pokojowym w Paryżu.

HENRI DE REGNIER.

## Prośba Pana de Largerie.

Wśród zalet, które czyniły pana marszałka de Brevannes jednym z najbardziej wybitnych wojowników swego czasu, należy podnieść wpływ jaki wywierał na żołnierza i ślepe zaufanie, którem obdarzali go wszyscy ci, którzy mieli zaszczyt służyć pod jego rozkazami. Marszałek de Brevannes posiadał w wysokim stopniu zdolność rozkazywania. Nie obawiał się wymagać zbyt wiele od innych, nie oszczędzał bowiem zupełnie siebie samego. Marszałek de Brevannes nie pobrażał sobie samemu ani też nikomu, ktokolwiek by to był.

Na punkcie dyscypliny naprzykład był zupełnie nieprzystępny. Jego surowość była skrajna. Najmniejsze uchybienie służbowe spotykało się z jego strony z ostrą naganą, a najmniejszy błąd był srogo karany, gdyż pan de Brevannes był zdania, że dyscyplina jest główną siłą i podstawą armii, bez której najświetniejsze wojsko jest warte tyle, co czczy dym i że odwaga, choćby niewiem, jak wielka, nie za-

stąpi nigdy dokładnego wykonywania rozkazów i stosowania się do zleceń.

Nie należy przypuszczać, żeby marszałek de Brevannes nie cenił odwagi, sam bowiem złożył jej świetne dowody, ale uważał czyny najbardziej awanturnicze za coś zupełnie prostego i naturalnego. Dlatego też nie wahał się tak samo osobiście je spełniać, jak też innym zalecać. Pod tym względem sława jego była tak dobrze ustalona, że służba pod jego rozkazami dawała patent na dzielność, powszechnie było bowiem znane, że pan de Brevannes nie oszczędzał życia żołnierza więcej, niż swoje własne.

Ta opinia o nim istniała już wtedy, gdy pan de Brevannes był jeszcze pułkownikiem w pułku Royal-Thierache, tak dalece, że wszystkie potyczki pułku Thierache na najbardziej zagrożonych posterunkach opłacane były obfitymi trupami i ranami. Lecz w żadnym innym pułku nie wypełniały się luki tak łatwo, jak w tym. Prześcigano się wzajemnie, aby mieć zaszczyt służenia pod rozkazami pana de Brevannes, który dumny był z tego, a ponadto przekonywał się, co można żądać od żołnierza, wyzyskując jego przymioty i męstwo i że zaszczytnem jest prowadzić w ogień tych, co zwą się Francuzami. Pan de Bre-



Dwukrotnie w ciągu pochodu dziejowego występuje ekspansja polska jakby wylew sił i energii politycznej daleko po za właściwe lożysko historyczne; pierwszy raz Bolesław Chrobry (992—1025) łączy pod swem panowaniem wszystkie plemiona zachodnio słowiańskie wystawione na podbój niemiecki. Dolne Łużyce przez lat 35, Morawy przez lat 30 i Słowaczyna przez lat 30 a nawet Czechy przez 2 lata ulegają berłu potężnego władcy Polski, który równocześnie wskazuje narodowi swemu dziejowe posłannictwo szerzenia kultury zachodniej na wschodzie, odbierając zagrabione przez Rusinów Grody Czerwieńskie tj. dzisiejszą Galicyę wschodnią i rozszerzając wpływy polskie aż po Dniepr i Kijów. Zadanie obrony ziem słowiańskich przed zachłannością niemiecką na zachodzie i kulturalnej pracy na wschodzie — oto wielki polityczny testament Bolesława Chrobrego, któremu wiernym pozostał naród polski przez wszystkie wieki swego historycznego bytu — oto misja Polski na wczoraj, na dziś i na zawsze — oto podstawa i konieczność jej istnienia i niepodległości. Wykonanie i utrwalenie tego zadania było jednak niemożliwe bez oparcia się o morze i handlowe stosunki z zachodem Europy. Rozumiał to Bolesław Chrobry i jego następcy, stąd zacięte walki Bolesława Krzywoustego z Niemcami o Pomorze Zaodrzańskie, które odtąd przez lat 60 a Pomorze Polskie z Kołobrzegiem przez 350 lat było połączone z Polską (990—1343).

Lecz jak powódź wznosi się i opada, tak przyszły czasy osłabienia energii ekspansywnej Polski po śmierci Bolesława Krzywoustego. W czasie podziałów w wieku 12 i 13, odpadły zachodnie kraje słowiańskie, odpadł nawet ro-

dzimy Śląsk polski w 14 wieku, tylko Ruś Czerwona została odzyskaną za Kazimierza Wielkiego r. 1340 i wkrótce potem zhołdowana Mołdawia.

Drugi okres ekspansji to koniec wieku 15 i wiek 16, to słynny pokój toruński za Kazimierza Jagiellończyka w r. 1466, to pokonanie Krzyżaków i odebranie ujścia Wisły, Pomorza z Gdańskiem i zhołdowanie na okres blisko 200 lat Prus Książęcych z Królewcem. Dalszym etapem tej ekspansji była unia z Litwą, złączenie Kurlandyi i Inflant z Polską a wreszcie już w 17 wieku za Władysława IV pokój Polanowski w r. 1634 jako kulminacyjny punkt rozrostu terytoryalnego Polski na wschodzie, obejmujący całe wschodnie dorzecze Dniepru, Ziemię Siewierską, Smoleńską i Czernichowską, Inflanty i Estonię. Jeśli do tego na południu dodamy, tak zwane Dzikie Pola, między dolnym biegiem Dniepru i Dniestru sięgające aż do Morza Czarnego, to będziemy mieli obraz tego olbrzymiego obszaru ziemi, uznającej podówczas zwierzchnictwo króla Polski, którego majestatyczny tytuł nie ustępował w niczem najpotężniejszym mocarzom świata.

Lecz i później aż do pierwszego rozbioru w r. 1772 mimo wielkie klęski i utraty wszystkich tych terytoryów na wschodzie i północy, a oprócz tego i Zadnieprza z Kijowem wynosiła powierzchnia Polski okragło 750.000 km. kwadratowych czyli blisko 10 razy tak wielki obszar jak Galicya. Ponieważ podstawą historyczną granic odrodzonego Państwa Polskiego ma być obszar Polski z przed r. 1772 a więc przypatrzmy się bliżej tym granicom.

Na północy granicę stanowi wybrzeże morza Bałtyckiego na przestrzeni 160 km, w linii

vannes miał cały zasób anegdot w tym kierunku, a oto jedna z nich, którą najchętniej opowiadał:

„W pułku Thierache służył stary kapitan, zwany de Largierie. Pan de Brevannes zastał go w pułku przy objęciu dowództwa i wnet zwrócił na niego uwagę z powodu dobrego stanu, w jakim utrzymywał swoją kompanię. Pan de Largierie był to sążnisty chłop, suchy i niezgrabny, z długimi nogami i małą głową, w której — prawdę mówiąc — prócz regulaminu wojskowego nie było zupełnie nic. To było przyczyną, iż pan de Largierie zwyczajnie milczał, jakby się obawiał utracić w rozmowie coś z swych wojskowych wiadomości. Pozatem był to oficer doskonały, punktualny i dokładny — lecz pan de Brevannes przyszedł wkrótce do przekonania, że zdolności jego są bardzo ograniczone. Pan de Largierie jednak zamierzał przenieść się w stan spoczynku, gdyż widział, że prócz szarży, którą zdobył wzorową służbą, nie dopnie niczego więcej.

I byłby z pewnością pozostawił w pamięci pana de Brevannes bardzo nikle wspomnienie, gdyby nie to, że pułk Royal-Thierache brał udział w oblężeniu twierdzy Altdorf. Książę de Vorrailles, który dowodził atakiem, widząc, iż twierdza

opiera się dzielnie, postanowił nie przyspieszać akcji. Przedewszystkiem bowiem chciał opanować szaniec, który stanowił dla naszych znaczną przeszkodę. To zadanie oddano do spełnienia pułkowi Thierache.

Więść o tem uradowała bardzo pana de Brevannes. Szturm miał nastąpić wczesnym rankiem i pan de Brevannes, wydawszy ostatnie rozkazy, spoczywał w swym namiocie, gdy niespodzianie zjawił się z prośbą o posłuchanie pan de Largierie. Zdziwiony tem pan de Brevannes kazał natychmiast wprowadzić oficera. Czegoż mógł żądać pan de Largierie o tak późnej godzinie? Przy pierwszych słowach pana de Brevannes, Largierie zmieszał się. W podłużnej jego twarzy przebiegało się głębokie zakłopotanie. Błąd i czerwieniał na przemian. Wreszcie odważył się przemówić. Oto przyszedł prosić, by kompania jego otrzymała zaszczyt uderzenia na szaniec nieprzyjacielski w miejscu najbardziej niebezpiecznym.

Usłyszawszy to pan de Brevannes zmarszczył brwi:

— Do kroćset, panie de Largierie, za co pan nas ma? Czy pan chce przez to powiedzieć, że re-



wybrzeża stałego lądu, nie uwzględniając dwóch ku wschodowi wydłużonych wąskich półwyspów, mierzei Fryskiej i półwyspu Heli w całości także do Polski należących. Oprócz tego należało do Polski bezpośrednio lub pośrednio wybrzeże Żmudzkie z portem Libawą i Kurlandzkie aż do wewnętrznego punktu zatoki Ryskiej do ujścia rzeki Aa w linii na 280 km. długiej. Pierwszorzędne jednak historyczne znaczenie dla Polski ma Pomorze Gdańskie, gdzie do dnia dzisiejszego rdzenna ludność polska nad morzem osiadła i gdzie u ujścia Wisły wznosi się jedyny wielki polski port Gdańsk, który od niepamiętnych czasów aż do 13. wieku stanowił integralną część ziemi polskiej, później przez Krzyżaków zagrabiony, ale od r. 1466 do pierwszego rozbioru Polski a więc przez 306 lat wraz z całym Pomorzem Gdańskim politycznie do Polski należał i na podstawie prawa historycznego bezwzględnie do Polski należeć musi i powinien.

Tylko wschodnia część Wyżyny Pomorskiej t. zw. Prusy Królewskie (dzisiejsza nazwa: Prusy Zachodnie) na zachód od Wisły aż do Bałtyku sięgające była stale związana z Polską, podczas gdy kraj zachodni po rzekę Odrę i tak zwane Pomorze Zaodrzańskie, ze Szczecinem, Nakłem i wyspą Rugią niegdyś na Świętopleku Pomorskim i Warcisławie Szczecińskim przez Bolesława Krzywoustego zdobyte uległy zmiennej losów kolei i zalewowi germańskiemu. Ustalona zachodnia granica między Prusami Królewskimi a Pomorzem z przed r. 1772 biegnie zatem od morza Bałtyckiego aż do rzeki Noteci w pobliżu jej ujścia do Warty. Jest to zarazem państwowa granica Polski w stronie północno zachodniej.

Pod względem geofizycznym zajmuje całe Prusy Królewskie wyżyna pomorska, która niejednokrotnie podchodzi wprost do morza i tworzy nad Zatoką gdańską w kilku miejscach malownicze urwiska (n. p. pod Radłowem), nad Bałtykiem zaś przeważnie rozplaszczają się w równinę tworząc piaszczyste ławy, zalewy i moczary nadbrzeżne.

Ludność polska zachowała tam do dnia dzisiejszego silnie swoją mowę i odrębność narodową głównie dzięki religii katolickiej odróżniającej ją od protestanckich Niemców. Są to słynni nasi Kaszubi, którzy w najdalej na północ nad morzem wysuniętym powiecie Puckim sięgają jeszcze 71 procent cyfry zaludnienia a i w innych nadmorskich powiatach posiadają przeważającą większość, bo 65 procent ogółu mieszkańców.

Ważniejsze miejscowości nadmorskie, które powinny się znaleźć w obrębie granic państwa Polskiego są: Elbląg nad Zalewem fryskim, Piława na mierzei Fryskiej nad głębią Pilawską, jedynym przełomem z Zalewu do Bałtyku, Gdańsk z Nowym portem i Wisłoujściem, Sopoty znane kąpiele morskie, dalej w zatoce utworzonej przez półwysep Hela, Puck, gdzie nad morzem do dzisiaj zachowały się wały ziemne z czasów króla Władysława IV, który w tem miejscu zakładał polski port wojenny; dalej na cyplu półwyspu, Hela z latarnią morską, dalej już nad pełnem morzem Rozyft (latarnia morską) i kaszubskie osady Karwień i Biała Góra. Godzi się tu wspomnieć, iż stosownie do przepisów międzynarodowego prawa morskiego, Morze Polskie stanowić będzie przestrzeń na 30 kilometrów od wybrzeża w głąb morza Bałtyckiego się ciągnąca, na której przyszła państwo-

sza pułku, jest mniej waleczną w boju od pańskiej kompanii? Dowiedź się pan...

Biedny de Largerie spuścił głowę wobec tej odmowy — lecz nagle podniósł ją znowu. Miał minę tak nieszczęśliwą, że pan de Brevannes nie dokończył zaczęto zdania. Pan de Largerie nabrał odwagi i rzekł:

— Niestety, mój pułkowniku, o ile pomnę, służyłem ojczyźnie i królowi już przeszło 25 lat, a mimo to nie przelałem za nich ani jednej kropelki mej krwi, bo na moje nieszczęście, żadna kula nie tknęła mnie dotąd. A przecież, panie pułkowniku, nie oszczędzałem się wcale i nie było ani jednej bitwy, w której pułk brał udział, bym w niej nie walczył. Lecz nie mi się nie stało — a przecież biłem się równie dzielnie, jak inni. Kule i granaty nie pragnęły mnie i omijały. Nie otrzymałem ani jednej rany i to jest hańbą mego życia.

Tu pan de Largerie wzniosł z rozpaczą swe długie ramiona:

— Ale pułkowniku! Jakże możesz żądać, bym wrócił do mego domu w stanie, w jakim mnie widzisz? Jakąż będzie tam moja starość? A ja marzyłem zawsze o tem, że powrócę na schyłek moich

dni z porządną drewnianą nogą, lub też z jakąś piękną kresą przez twarz, która jest ozdobą żołnierza! Co powiedzą o mnie, gdy wrócę zdrow i cały, podczas gdy tyle dzielnych żołnierzy zginęło dla króla? Sądzę więc, panie, że nie odmówisz mej prośbie i pozwolisz mi wygrać mą ostatnią kartę. Oto, co chciałem panu powiedzieć. Czyż nie uczyni pan zadość prośbie starego oficera, który pragnie naprawić krzywdę zadaną mu przez zawistne losy?

Pan de Largerie, pierwszy raz w życiu wymowny, umilkł, oczekując z trwogą odpowiedzi pana de Brevannes i ocierając zroszone potem czoło. Pan de Brevannes wstał z krzesła. Z powagą zdjął z głowy czapkę, skłonił się przed panem de Largerie i rzekł:

— Nikt nie powie, mój panie, aby pułkownik de Brevannes chciał pozbawić pana tak pięknej okazji. Jutro poprowadzi pan czoło atakującej kolumny — tembardziej, że interes króla zgadza się w tym wypadku z pańskim.

Na drugi dzień, opowiadał dalej pan de Brevannes, rozpoczęło o oznaczonej godzinie szturm — był to jeden z najbardziej krwawych bojów, w których miałem zaszczyt brać udział. Pułk Thierache



wa flota ma prawo wykonywania policyi morskiej.

Od Białej Góry nad Bałtykiem w głąb lądu ciągnie się linia węzową — najpierw w kierunku południowo zachodnim aż w okolice Międzyrzecza w Wielkopolsce a następnie w kierunku południowo-wschodnim aż do rzeki Odry i Odrą do Śląska Cieszyńskiego — zachodnia granica państwa między Polską a Niemcami a na Śląsku między Polską a Czesko-Słowacką republiką. Na całej tej ogromnej przestrzeni 800 kilometrów długości podstawą oznaczenia granic jest zasada historyczna i etnograficzna, gdyż nie ma tu nigdzie naturalnych kresów jakie stanowią zwykle góry lub rzeki a nawet Odra wcale nie jest granicą naturalną wobec tego, że ludność polska w wielu miejscach bardzo gęsto rozsiadła się po jej lewym czyli zachodnim brzegu. Szczegółowe wytyczenie zachodniej granicy Państwa Polskiego będzie zapewne przedstawiać nie małe trudności, ile że granica etnograficzna nie jest tu nigdzie ścisłą; ludność niemiecka skutkiem kolonizacji i świadomej polityki byłego cesarstwa niemieckiego wcisnęła się tu daleko na wschód po za pierwotne historyczne granice z czasów pierwszego rozbioru. Tak na przykład niektóre powiaty Wielkopolskie jak Wałecki są już prawie w zupełności zniemczone, nad Notecią sięga ludność niemiecka w kształcie języka prawie do Wisły, oddzielając ludność polską Prus Zachodnich (Krainiaków, Borowiaków, Koczewiaków i Kaszubów) od żywiołu Wielkopolskiego. Dalej na południowym zachodzie jest ta granica wielce poplątaną. Linia poprowadzona od Opawy na Prudnik (Neustadt), Brzeg do Krotoszyna odgranicza Polaków od Niemców, przyczem ta

linia pomimo rozrzuconych wysp językowych niemieckich po stronie polskiej i odwrotnie wysp polskich po stronie niemieckiej jest daleko wyraźniejszą niż w Poznańskim, gdzie ludność polska dochodzi do Wschowy i Międzybuzia — tam jest ta granica bardzo poszarpana. Dlatego tutaj wszędzie sprawiedliwość rozgraniczenia musi się oprzeć na zasadzie historycznej. Pamiętać bowiem należy, że aż do pierwszego rozbioru Polski Wielkopolska i Prusy Królewskie należały do ziem najludniejszych w Rzeczypospolitej i dopiero Frydryk II natychmiast po zabranii kraju osadził na osuszonych bagnach nadnoteckich Niemców a reszty dokonały „rugi Bismarkowskie“ i smutnej pamięci komisya kolonizacyjna. Niewątpliwie Kongres pokojowy wynagrodzi te krzywdy wiekowe a później, może już w czasie pokojowym — mieszane komisye graniczne polsko-niemieckie niejedno sprostowanie granic ustala; linia graniczna, którą poniżej podaję, liczy się zprzeczonymi tu względami i opiera się głównie na zasadzie historycznego posiadania. Od wybrzeża Bałtyckiego morza w pobliżu miasteczka Białej Góry ciągnie się linia graniczna na południe wzdłuż rzeczki uchodzącej do jeziora Żarnowieckiego, do Góry Dąbrowej, dalej na południe przez Gowidłno i Sulęcina do Nakielna. Od tej miejscowości zwraca się rozwartym łukiem ku zachodowi aż do Tuchomia, dalej na południowy zachód grzbietem Miastkowych Wzniesień aż w okolice Białemborku, który określa od północy. Stąd zwraca się na południe do Szczecinka i znowu wygina łukiem na zachód do Czapliska a dalej na południowy zachód przez miejscowości Wała, Tuczo i Zieloną Górę dochodzi na zachód od Krzyża

okrył się sławą, gdyż wróg stawiał zacięty opór; lecz po gwałtownej walce wręcz, staliśmy się panami szan. Każda kompania straciła w tej walce trzy czwarte oficerów i żołnierzy — i tam dostałem tę ładną kresę, którą później pani marszałkowa de Brevannes, śmiejąc się, porównywała z przepaską Amora. Co się tyczy pana de Largerie, to jego pragnienie spełniło się. Znalaziono go pod stosem trupów, na wpół nagiego, tak dalece mundur jego był poszarpany w strzępy. Uważaliśmy go za umarłego, lecz gdy chirurg liczył jego rany, otworzył oczy a wargi jego poruszyły się lekko. Głos jego był tak słaby, iż ledwo dochodził mych uszu. Zrozumiałem o czem chciał się dowiedzieć i pochyliwszy się nad nim, zawołałem:

— Panie de Largerie! Wszystko poszło dobrze — reduta jest naszą a pan masz czternaście ran!

Niezwykła radość rozjaśniła bladą jego twarz i gdy w chwil kilka potem skonał, zachował w niej to bohaterskie zadowolenie, które czyniło z niego prawdziwy obraz prawego żołnierza, szczęśliwego, że umarł dla króla i Francji.

Pan marszałek de Brevannes, kończąc swe opowiadanie o panu de Largerie, pocierał ustawicznie kącik swego oka — może to kresa dolegała mu, a może raczej był wzruszony wspomnieniem dzielnego oficera, którego skromne życzenie żołnierskie spełniły odrazu kule i bagnety — i nie chciał tego okazać.

Z francuskiego przełożył

Kazimierz Bukowski.





do Noteci, którą pod Drezdenkiem przekracza. Jeszcze raz zwraca się na zachód, przekracza koło Czajki rzekę Wartę i odtąd na zachód od Międzyrzecza przybiera już wyraźny kierunek południowo-wschodni i ciągnie się prawie w prostej linii przez Świebodzin, Cylichów i Sławę do rzeki Kopanicy, którą od południa oddziela powiat i miasto Leszno. Wzdłuż linii kolei żelaznej idącej z Leszna do Wrocławia idzie dalej granica do Rawicza, wkracza na górny Śląsk i łukiem na wschód wygiętym przez Oleśnicę dochodzi koło Brzegu do Odry. Dalszą granicę stanowi rzeka Odra aż do Bogumina i Śląska Cieszyńskiego, który na podstawie już zawartego układu czesko-polskiego i na podstawie etnograficznej w całości wejść musi w skład Państwa Polskiego.

Nie będę się rozwodził nad prawami historycznymi do tych prastarych ziem polskich Śląska Górnego i Cieszyńskiego, wspomnę tylko, że zadawałając się granicą Odry na Śląsku Górnym, nie sankcjonują przez to wcale Polacy zrzeczenia się praw swoich do reszty Śląska a szczególnie do okolic w przeważnej lub w wielkiej części przez ludność polską na lewym brzegu Odry zamieszkałych tj. do okolicy na zachód od Opola i księstwa Raciborskiego. Właściwa granica językowa czesko-polska na lewym brzegu Odry w powiecie Głupczyckim idzie od Baborowa przez Piotrowice, kierując się 5 km. na zachód od Bogumina. Tu w okolicy Opawy i Hulczyna ludność czesko-morawska i niemiecka jest tylko przymieszką rdzennej ludności polskiej. Dalej na wschód i południe za Ostrawą ku granicy galicyjskiej i Beskidowi mieszka już ludność polska zwartą masą, chociaż miasta i ogniska przemysłowe nosiły dotąd sztuczny charakter niemiecki. O tem pamięta naród polski i zaznaczył to dobitnie w czasie ostatniego najazdu czeskiego na tę odwiecznie polską ziemię.

Pod względem fizyograficznym należy już Śląsk Cieszyński do podgórzia Beskidu, do którego zdąża dzisiejsza granica Państwa Polskiego doliną Ostrawicy przez Frydek-Mistek do Frydlandu i Starej Hamry. Szczyt górski Kraśna u wstępu do Beskidu Zachodniego stanowi początek południowej granicy państwa. Grzbieciem Beskidu przezwanego przełęczą Jabłonkowską dochodzi granica przez Jabłonków doliną Kisuczy do Wagu a obejmując wielkiem półkolem Wysokie Tatry wraca napowrót koło Orłowa do Beskidu i dawnej granicy Galicyjsko-Węgierskiej.

Dziś dolinę Orawy i Popradu okupowały gwałtem wojska czesko-słowackiej Republiki, lecz historyczna i etnograficzna przynależność Ziemi Spiskiej do Polski powinna znaleźć spr-

wiedliwe uznanie i określenie w ostatecznym zarysie granic państwa polskiego na Kongresie pokojowym. Tego oczekujemy z ufnością w naszą słuszną sprawę, tego spodziewamy się po czujności i energii naszych przedstawicieli w Paryżu.

Od szczytu Kraśnej u wstępu do Beskidu Zachodniego aż do ujścia Smotrycza do Dniestru liczy południowa granica Państwa Polskiego około 700 kilometrów i wszędzie z wyjątkiem ziemi Spiskiej idzie grzbieciem Karpat, jest więc w zupełności granicą naturalną. Jest też równocześnie granicą historyczną na zachodzie od niepamiętnych czasów, na południowym wschodzie od czasów Kazimierza Wielkiego czyli posiada za sobą powagę 432 lat, licząc od r. 1340 do 1772. Już obydwa te względy fizyograficzny i historyczny uwalniają mnie od wyjaśniania, dlaczego Polska do tej granicy w całej jej rozciągłości przywiązuje jak największą wagę i znaczenie, lecz i względowi etnograficznemu na południowym wschodzie przeciwstawia się olbrzymia praca kulturalna Polaków, którzy nie tylko te okolice przez wieki całe od najazdu barbarzyńskiego wschodu krwią swoją bronili, lecz pracą swą kulturalną i opieką nad żywiołem ruskim umożliwili mu jedynie w tym zakątku kraju swobodny rozwój i pielęgnowanie właściwości narodowych. Wszakże aż do wybuchu wojny w r. 1914 żywioł ruski za Zbruczem był uważany za część składową ludności wszechrosyjskiej a język ruski był uznany za gwara chłopską niegodną rozwoju literackiego. To też ani w szkołach ani w żadnych objawach życia społecznego język ruski pod zaborem rosyjskim nie był tolerowany lecz przeciwnie jak najsroźszemu ulegał uciskowi, podczas gdy w Galicyi miał on zupełnie swobodny rozwój i równouprawnienie zapewnione. Nawet we Lwowie, stolicy byłego zaboru austriackiego pomimo tego, że ludność tego miasta jest w 61 proc. polską, 27 proc. żydowską a tylko 10 proc. ruską, jednak żywioł ruski pod opieką tak zniechęconych przez dzisiejszych Rusinów „polskich rządów“ wzmógł się kulturalnie a Lwów stał się siedzibą mnóstwa instytucji ruskich tak gospodarczych, jak kulturalnych i społecznych. Uznany pogląd historyczny, iż swobodny ustrój Ukrainy, był tylko możliwy w obrębie Rzeczypospolitej polskiej, nie zgadzał się zaś z despotycznym ustrojem państwa moskiewskiego, nie stracił i dziś jeszcze na swojej aktualności.

Jak będzie wyglądać wschodnia ściana Państwa Polskiego? Odpowiedź na to pytanie rozważana ze stanowiska historycznego jest bardzo prosta. Oto Polska powinna napowrót otrzymać swoje historyczne granice z przed r.



1772, a następnie dopiero w drodze swobodnego porozumienia się z sąsiadami odpowiednio ją zmienić lub uregulować. Lecz jeśli chodzi o odpowiedź na pytanie, jaką granicę uważają Polacy za konieczną dla swego bytu niepodległego i swobodnego na przyszłość rozwoju, to miernikiem tu musi być suma wpływu historycznego, gospodarczego, kulturalnego i etnograficznego a w niemniejszej mierze i fizyograficznych warunków. Nie zrzekając się więc swoich praw historycznych i wpływów cywilizacyjnych na całym obszarze dawnej Polski przedrozbiorowej uważają dzisiejsi Polacy jako konieczną granicę swego państwa następującą linię:

Od ujścia Smotrycza, w kierunku północno-wschodnim z Kamieńcem Podolskim, przez Starokonstantynów za biegiem Słuczy a potem Ilży do Prypeci, dalej Prypecią na wschód do Dniepru w pobliżu Lubeczy; stąd dalej najpierw Dnieprem do ujścia Berezyny a następnie biegiem tej rzeki na północ aż do Druci i wzdłuż jej brzegu aż do granic dawnego województwa Witebskiego. Stąd łukiem na zachód przez Święciany i Gidrojce z okrażeniem od północy powiatu Wileńskiego aż do Kowna, poczem dawną granicą Królestwa Polskiego do granicy Prus Książęcych. Taka granica odciina południową część Litwy o przeważnej części ludności Polskiej. W Prusiech wschodnich czyli Książęcych powinna granica Państwa Polskiego przechodzić linią odcinającą południowo-wschodnią część kraju tak zwane Jeziora Mazurskie z polską ludnością ewangelickich Mazurów, aż do Olsztyna i granic dawnego biskupstwa Warmińskiego i zwracając się w kierunku północno-zachodnim dochodzić koło Brunsbergu do Zalewu Fryskiego.

W obrębie powyższych granic zamknięte Państwo Polskie liczyć będzie około 35 milionów ludności a w tej liczbie około 10 milionów ludności niepolskiej: Rusinów, Białorusinów, Litwinów, Niemców i Żydów. Jednak przewaga żywiołu polskiego we wszystkich częściach tego kraju odpowiadać będzie podstawom porządnej organizacji nowoczesnego państwa narodowego. Dlatego, nie zrzekając się praw historycznych, nie zaliczają tu Polacy od strony wschodniej całego szeregu województw, które wchodziły w skład Rzeczypospolitej Polskiej przed r. 1772. W szczególności odpada większa część województwa podolskiego, całe województwo bractawskie i kijowskie, wschodnia część wołyńskiego, południowo-wschodnia część Polesia, wschodnia część województwa mińskiego, całe mścisławskie, witebskie, połockie i inflanckie, północna część Litwy, cała Żmudź i Kurlandia. Jest rzeczą naturalną, że Polacy da-

żyć będą do zawarcia unii gospodarczej i politycznej z krajami litewskimi i białoruskimi, które nie wejdą w skład państwa polskiego bezpośrednio. Tak samo gotowi są zawsze do zawarcia związku z Ukrainą, o ile ten kraj zdoła wyodrębnić się od Rosyi. Narzucać się jednak nikomu nie chcemy ani o tem nie myślimy. Cudzego nie chcemy ale swego nie damy!

Lwów, w marcu 1919.

Michał Lityński.

J. N. F.

## Z dziejów wojskowości polskiej\*).

### III.

*(Liche reformy wojskowe za Stanisława Augusta. — Sejm Czteroletni okazał brak zrozumienia dla spraw wojskowych, co Polskę dobiło. — Oby obecny Sejm Walny był szczęśliwym!).*

Gdy w czasie ostatniego bezkrólewia Czartoryscy zawiązawszy konfederację, doszli do władzy, zamysłali oprócz innych spraw zreformować także i wojsko.

Jedną z głównych wad dotychczasowej organizacji była nadmierna władza hetmanów, niezależnych faktycznie ani od króla, ani od sejmu. To otwierało pole nadużyciom. Sejm konwokacyjny (1764) pozostawił hetmanów tylko przy dowództwie nad wojskiem, a całą administracyjną władzę, która w dobrze zorganizowanym państwie należy do ministerstwa wojny, przelał na nowo utworzoną władzę, t. zw. „Komisję wojskową koronną“. Nieco później na sejmie koronacyjnym utworzono też „Komisję wojskową litewską“.

W teorii były to rozumne i potrzebne reformy, gdyż oba unią połączone państwa otrzymywały nareszcie pod tą nazwą „Komisyi“ niezbędne ministerstwa spraw wojskowych, których dotychczas nie było. W praktyce jednak nie wielki był z nich pożytek, czego dowodem już sam skład osobisty tych władz. Komisję litewską składało pięciu ludzi, którzy wszyscy, nie wyłączając przewodniczącego hetmana wielkiego, Michała Ogińskiego, byli wojskowymi tylko z imienia, jeszcze gorzej było w Komisji koronnej, którą pod przewodnictwem siedziogo wojewody ruskiego, Augusta Czartoryskiego, tworzyli sami cywilni! Chociażby jednak ci młefachowj komisarze okazali nawet najwięcej dobrych chęci, chociażby po jakimś czasie włożyli się do urzędowania, to i wtedy nie wieleby zdziałać mogli, gdyż na mocy ustawy musieli po 2 latach rezygnować, a na ich miejsce wybierał sejm nowych.

Sejm z r. 1766. wybrał wprawdzie do Komisji koronnej kilku zawodowych oficerów, ale jeżeli zważymy, że Polska od kilku generacji wojny wcale nie prowadziła, dojdziemy do wniosku, że z tych paru pułkowników nie było wielkiego pożytku. Jeden tylko zresztą znalazł się między członkami komisji człowiek, który w późniejszym życiu okazał, że znał się na wojskowości, choć zabłysnął bardziej herostratową sławą, jako polityk zdradziecki, był to Ksawery Branicki. — Komisya posiadała swoje

\*) Por. „Placówka“, Nr. 5, str. 4. i nast.



biurojz łożone z fachowych oficerów, ale śmiesznie szczupłe, bo z kilku ludzi złożone.

Niefachowa i nieporadna najwyższa władza wojskowa rozpoczęła urzędowanie od tego co zwykle czynią niefachowi przełożeni, t. j. od reform zewnętrznych, nie istotnych. Ponieważ zaś chciała być popularną u podwładnych, więc za najwyższą reformę uznała podwyższenie płac całemu wojsku o 50 proc. Gwardya królewska dostała jeszcze specjalny „dodatek drożyzniany“ ze względu na drożyznę w stolicy. Zdarzało się to zresztą i w innych czasach — a nie tylko w wojsku — że niefachowi, na rzeczy nieznający się przełożeni, a za popularnością goniący, uważają podwyższenie płac podwładnego personalu za „wielką reformę“. Czy biedny skarb znajdzie pokrycie, czy zostanie co grosza publicznego na inne, bardziej rzeczowe wydatki, o to zwykle takich panów szefów głowa nie boli. A że w naszej nieszczęsnej Polsce nie zawsze ludzi lubięli (a nie tylko wtedy) oglądać się na skarb publiczny, a amatorów na wysokie płace nie brakło, że nadto sejm ówczesny nie chciał być niepopularnym u wojska, więc reformę płac uchwalono, choć koszt utrzymania słabiuchnego liczebnie wojska wynosił o'brzymią na owe czasy kwotę 11 milionów złp. Na dobitkę nie przeprowadzono reformy skarbowości, więc podwyżki płac nie było można w całej pełni przeprowadzić...

Jedyną fachową reformą komisji wojskowej był wydany przez nią regulamin jazdy, a więc dla rodzaju broni, który wtedy był już mniej ważnym. Regulamin ten, nieudolnie z pruskiego kopiowany, posiadał wartość bardzo niewielką. Piechota i artylerja nie otrzymały wcale (!) regulaminu.

Nieudolną gospodarke obu komisji wojskowych przerwały zresztą walki konfederatów barskich. Całe wojsko Rzeczypospolitej uległo wtedy zupełnemu rozprężeniu, gdyż niektóre pułki przeszły na stronę konfederatów, podczas gdy inne, opanowane przez Branickiego, wspierały Moskwę. Konfederacya sama zdobyła się tylko na walkę partyzancką, armii regularnej wytworzyć, Moskali z Ojczyzny wyprzeć nie zdołali, stąd cała jej akcyja była bez znaczenia dla siły militarnej państwa polskiego.

Bezpośrednim wynikiem działalności Komisji wojskowych było, iż pierwszy rozbiór zaskoczył Polskę nieprzygotowaną o'rznie bezbronna wobec trzech sąsiadów, którzy nasłali razem około 100.000 wojska na kraj.

W czasie sejmu rozbiorowego zaszła w wojsko-wości ta ważna zmiana, że hetmanem wielkim koronnym został Ksawery Branicki, a polnym Seweryn Rzewulski. Ślusznie zauważa Tadeusz Korzon, że „wyniesienie tych ludzi na tak ważne i chlubne niedługo urzędy było jednym z najcięższych grzechów politycznych Stanisława Augusta. Oczywiście, gdyż jeden okazał się zdrajcą, a drugi niepo-czytalnym maniakiem politycznym, a obaj mieli przedewszystkiem warcholice przeciw własnemu rządowi.

Niestawny sejm rozbiorowy obradował z różnymi przerwami od r. 1773. do 1775. Zatwierdził on pierwszy rozbiór i oddał rząd nad Polską t. zw. „Radzie Nieustającej“, złożonej z 36 członków, wybranych przez sejm. Władza króla miała odtąd ograniczać się do tego, że był przewodniczącym tej rady. Dzieliła się Rada na 5 departamentów, które były niejako ministerstwami i to wspólnymi dla Korony i Litwy. Wobec tego dotychczasowe komisje wojskowe, koronną i litewską rozwiązano,

a władzę nad wojskiem otrzymał „Departament wojskowy Rady Nieustającej“, który objął władzę dnia 6. listopada 1776 r. i dzierżył ją przez lat 12, t. j. do r. 1788.

Składał się Departament, jak i cała Rada Nieustająca z senatorów i posłów, wybieranych przez sejm na 2 lata. Zrazu byli to prawie sami zauszniacy rosyjscy, za czem poszło, że cała Rada była wogóle w kraju znienawidzona. Przypnać jednak należy, że pewien mały postęp był, że w miejsce dawnego bezrządu, gdzie każdy robił, co mu się podobało, nastawał powoli pewien ład w kraju. Zresztą i sejmy późniejsze nie składały się z samych służalców rosyjskich i dlatego wybierały i godniejszych członków do Rady Nieustającej. Jeżeli jednak w którym departamencie, to w wojskowym fachowa znajomość rzeczy była niezmiernie potrzebna. Nie posiadali jej jednak z łona sejmu wybierani senatorowie i posłowie, stąd też działalność departamentu nie mogła być świetną.

Jak za czasów Komisji Wojskowej, tak i teraz pozostało ograniczenie władzy hetmanów do właściwej komendy. Jeden z czterech hetmanów, przez sejm wybrany, miał być przez okres dwuletni przewodniczącym Departamentu, on więc, jako zawodnych wojskowy, mógł być coś dobrego żdziałać. Niestety hetmanów miała wtedy Polska jak najgorszych. Wspomnieliśmy już o obu koronnych, tu dodajmy, że Branicki, który chwilowo za sejmu rozbiorowego, przez protekcyę carowej Katarzyny odzyskał całą dawną władzę hetmańską nad wojskiem, teraz z wielką tniechęcią znosił zależność od Departamentu Wojskowego.

Przestał troszczyć się o wojsko, przesadywał często w Petersburgu, gdzie wkraśl się jeszcze bardziej w łaski carcy i intrygował przeciw królówi, swemu dobroczyńcy.

Gdy później Rosya rozpoczęła wojnę z Turcyą, wstąpił jako ochotnik do wojska rosyjskiego i wprost mawiał „Jestem Rosyaninem“. Rzewulski siedział w swych dobrach i wypisywał bezsensowne memoriały polityczne, których treścią było, aby przywrócić dawny bezrząd (co on i jemu podobne wielkopańskie warcholy nazywały wtedy „złotą wolnością“) i to przy pomocy Austriaków lub Prusaków. Hetmanem wielkim litewskim był Michał Ogiński, człowiek osobiście uczciwy, ale rozumiejący się lepiej na muzyce i teatrze, jak na wojsku. Hetman polny Józef Sosnowski, którego sejm wybierał prawie zawsze przewodniczącym Departamentu, był zdrajcą najgorszego rodzaju. Znany on est z tego, że swego czasu nie pozwolił swej córce wyjść za mąż za młodego oficera Tadeusza Kościuszkę, późniejszego wielkiego Naczelnika Narodu. Szlachetny ale ubogi oficer był zdaniem pana hetmana niegodnym ręki jego córki. Z aktów historycznych wiadomo, że Sosnowski, ubogi szlachetka z pochodzenia, dorobił się majątku i stanowiska, wysługując się zrazu książętom Czartoryskim, a później basodorowi rosyjskiemu. Stachelbergowi. Jako przewodniczący Departamentu Wojskowego chciał nawet w czasie pokoju wydać Moskalom Kamieniec Podolski, jedyną jakę taką ówczesną twierdzę polską, co król z trudnością tylko udaremniał. Wszyscy jednak ci hetmani pobierali wysokie pensye, chociaż nic nie robili!

Czasy Departamentu wojskowego oznaczają jednak o tyle pewien postęp w wojskowości, że (za zgodą Rosyi) sejm uchwalił powiększenie wojska



do 30.000. Dzięki nieudolnej gospodarce skarbowej, nie można było jednak ustawy tej przeprowadzić. Po paru latach stanęła wreszcie zasada, że wszystkie przewyżki dochodów państwa nad wydatkami należy obracać na wojsko. Widzimy z tej jednej uchwały, że Polska ówczesna nie była wcale krajem biednym; kiedy bywały przewyżki dochodów nad wydatkami, rzecz niebywała w obecnych państwach, z których każde jeszcze przed obecną olbrzymią wojną miało miliardowe długi. Nie było jednak u nas głowy mądrej do kierownictwa, nie było prawdziwego patriotyzmu, zdolnego do poświęcenia z krwi i majątku. Powoli udało się podnieść nieco stan liczebny armii, ale jeszcze w r. 1788 t. j. przed Sejmem Czteryletnim, było wszystkiego ponad 18.000 ludzi, zamiast 30.000 uchwalonych. Te cyfry wymowniej od wszystkiego świadczą o niesłychanym niedołęstwie ówczesnego społeczeństwa i o zupełnym niezrozumieniu tej wielkiej prawdy, że jak naród bez państwa nie jest narodem, tylko trzodą niewolników, która obcym służyć musi, tak państwo bez wojska, nie jest państwem, tylko bezsilnym gmachem, z kart, który lada podmuch zmiecie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROMAN WOYNICZ

## LIST.

„Ot, na kolanie piszę, — dwa słowa,  
bo pocztą zaraz odchodzi,  
— słońce za lasem właśnie się chowa,  
tak dziwnie dzisiaj zachodzi...”

promienie drzewa purpurą znaczą,  
— wiesz — czasem chwile nadchodzą,  
tak inne jakieś — wszystko inaczą, —  
nikt nie wie, z czego się rodzą, —

z czego powstają — dziś chwila taka —  
i na mnie przyszła, — lecz — koniec....  
bo nasz pocztowy przysłał chłopaka,  
jedzie z listami już goniec.

List ten za chwilę wyruszy w drogę,  
pamięci niech niesie słowa...”

Dopisek: „Rannym, lecz pisać mogę,  
był atak nocny — bądź zdrowa...”



KAZIMIERZ BUKOWSKI.

## Jak powstała artylerya lwowska.

Przypomina to trochę romantyczną bajkę.  
A jednak jest rzeczywistością — —

Dzieją się bowiem czasem rzeczy, które widziane z oddalenia, zdają się czemś tak nieprawdopodobnem jak sen.

Któż kiedy myślał, że w gorących dniach listopada, kiedy młodzi bohaterowie rzucili się do obrony drogiego miasta z gołemi prawie rękoma — powstanie artylerya polska?

Marzono o tem całymi dniami. Pociski ukraińskie, rzucane z Wysokiego Zamku, zapalały krew w żyłach i podbudzały energię. Ach, gdyby mieć własną artylerję! Jedno, dwa działa choćby! A wtedy zmusić nieprzyjaciela do milczenia!

I znaleźli się ludzie, dla których nie było rzeczy niemożliwych. Zeszli się w jednym domu przy ulicy Sadownickiej, naradzili się i plan był gotowy.

Armat nie było. Więc trzeba je zdobyć, wydobąć z pod ziemi!

Myśl ta szczęśliwa zrodziła się w głowie energicznego i dzielnego majora Marcelego-Grota-Sniadowskiego. A pomagali mu w urzeczywistnieniu jej inni, jak kap. Niepołomski, por. Wilhelm Todt i w końcu kap. Korwin.

Gdzieś z magazynów czy lamusów wydobywano stare zardzewiałe rury, zaśniedziałe zamki, czyszczono, naprawiano, lutowano mozolnie w ciągu wielu dni — i tak z niczego poprostu złożono dwie armatki ośmiocentymetrowe.

Pierwsze działa polskie we Lwowie! Jakie były — mniejsza o to! Ale były dwie „pukawki”, które zaraz ustawiono na Kadeckiej Górze i strzelano zawzięcie na Cytadelę, wprowadzając zdziwionych ukraińców w zamieszanie.

Wszyscy odetchnęli swobodnie. Nasze działa biją! Nasza artylerya strzela! Radowano się i z dumą słuchano głuchych pomruków tych pierwszych armatek.

Z amunicją też był kłopot, ale wnet temu zaradzono. Znalezione gdzieś małe rosyjskie granaty, kobiety uszyły woreczki i wszystko szło jak z płatką.

Gładko poszło również z innemi przyborami. Konie zarekwirowano u Leinkaufa i używano ich do przewożenia armat.

Tak powstała pierwsza bateria, nad którą objął komendę por. Królikiewicz.

Armatki grały dzień i noc, odpowiadając na ogień nieprzyjacielski i ostrzeliwując ważniejsze punkta.

Jak strzelano?

Coś jak w wiekach średnich. Bez żadnych aparatów mierniczych, bez wszelkich udogod-



nień. Ładowano nieraz za małe pociski, okręcano szmatą i bito zawzięcie.

Bateria zajęła stanowisko na górze św. Jura zamaskowana dobrze przed okiem nieprzyjaciela i stamtąd prażyła Ukraińców ukrytych w koszarach Ferdynanda.

Ale nie poprzestano na tej jednej baterii. Major Grot nieustannie pracował nad powiększeniem swej artylerii, którą tak szczęśliwie udało mu się zapoczątkować.

A więc zrobiono wyprawę do Sichowa, gdzie znajdował się austriacki skład amunicji. Wyprawa powiodła się znakomicie. We wsi znaleziono wielki magazyn amunicji, austriackiej, a co najważniejsze, dwie zepsute, stare armaty rosyjskie.

Bateria powiększyła się.

A potem znów wyszperano gdzieś kilka armat. Szukano, myszkowano ustawicznie, by zebrać jak największą ich ilość. Dowiedziano się, że w Sokolnikach znajdują się ukryte armaty. Wnet mjr. Grot zorganizował wyprawę na Sokolniki. Wyruszyli na nią por. Odzierżyński, por. Todt, ppor. Gelbert Stanisław, kilku ludzi z karabinami i jednym ciężkim samochodem. Dostawszy się do wsi, dowiedziano się od tamtejszego proboszcza Czyżewskiego (zamordowanego potem przez Ukraińców), że jakiś oddział polski w obawie przed Ukraińcami zatopił 4-ry działą polowe w błotach, a zamki powyjmował i ukrył. Armaty wyszukano i wyjęto z błota, zabierając przytem sporą ilość koni ze wsi.

Nie odbyło się jednak bez walki. Ukraińcy dowiedzieli się o wyprawie na armaty i ruszyli gęstą tyralierą na Sokolniki.

Szczęśliwie wydostano się z Sokolnik i z tryumfem przywieziono armaty do Lwowa.

Z dnia na dzień powiększała się liczba armat. Gdzieś znowu mjr. Grot wyszukał dwie rosyjskie, górskie haubice, do których używano austriackiej amunicji.

W warsztatach wrzała energiczna praca, naprawiano stare armatki, dodawano zamki, przerabiano i sztukowano i już gotowe wysyłano na pozycje.

Powstawały coraz nowe armaty i grzmiały dzień i noc na wszystkich punktach miasta.

Zebrawszy w ten sposób większą ilość armatek najrozmaitszego pochodzenia i wszelakiego kalibru, przystąpiono do organizacyi.

A więc dowództwo objął mjr. Grot, akcyę taktyczną oddano kpt. Łodzińskiemu, materiał i werbunek ludzi oddano kpt. Niepołomskiemu. Adjutantem był por. Todt.

I tak powstał pierwszy pułk artylerii lwowskiej.

Nie wielki był on początkowo, ale zdobyty trudem i śmiałą inicjatywą przewyższył wszel-

kie nadzieje. Dał się też dobrze Ukraińcom we znaki. Czyniono wypadki i zdobywano dalsze działa na wrogu: na dworcu Łyczakowskim, na górze Jacka.

Niezwykły widok przedstawiał ten pierwszy pułk. Były to działa najrozmaitszego kalibru i wszelakiego typu — a jednak oddawały dzielnie swoje usługi, prażąc Ukraińców i rozbijając w puch ich wściekłe ataki, zwłaszcza pamiętny atak na szkołę Kadecką w dniu 17. listopada.

I dziś jeszcze bronią murów Lwowa.

Lwów w marcu 1919.

ROMAN WOYMICZ.

## Legia akademicka.

(36 pułk piechoty).

Zaraz, w pierwszych dniach listopada 1918 r. organizować począł w Warszawie stary oficer I-szej Brygady, Kazimierz Sawicki, pułk piechoty, który początkowo nosił tytuł „piątego“. Sawicki przeprowadzał organizacyę pułku z ramienia P. O. W., łatwo więc zrozumieć, że materiał oficerski otrzymał niepośledni, a i żołnierski miał dobry, bo sypnęli się liczni ochotnicy z akademickich sfer. Technika i uniwersytet dostarczyły przeszło 1000 ludzi. Pułk zapowiadał się doskonale. Aspiracye zaś i zamiary na przyszłość miał wielkie, bo przecież jak z początkowego tytułu widać, następcą chciał się stać i spadkobiercą starych „zuchowatych“, którzy przecież jako piąty pułk piechoty Legionów, drugą jeszcze urzędową nazwę nosili: „drugi, warszawski, pułk strzelców“.

Oficerowie różnych typów, przeważali jednak wśród nich oficerowie Muśnickiego, — zajęli się ćwiczeniami. Niewiele jednak tych ćwiczeń było. Pułk od początku istnienia stanął do garnizonowej służby. W połowie listopada nadano mu nową cyfrę porządkową, i odtąd jest on 36-ym warszawskim pułkiem piechoty. Dowództwo pułku otrzymał mjr. Zygmunt Bobrowski, pierwszy batalion Sadowski Witold, drugi: Sawicki. Wszyscy oni, to starzy oficerowie Piłsudskiego. Bobrowski jako komendant batalionu pod Laskami jeszcze w 1914 r. ciężką ranę w głowę otrzymał, i nigdy już do zdrowia nie przyszedł, Witold Lubicz-Sadowski w pierwszym pułku piechoty Legionów, całą wojnę przeżył, Kazimierz Sawicki tak samo służył w piątym pułku. A oprócz nich i innych jeszcze legionowych oficerów, przydzielono do „Warszawiaków“. Alf. Tarczyński, por. Kuta-Orlo-



wiecz, por. Romocki-Malicki, por. Stawarz, ppór. Smigielski, oto nazwiska kilku tylko z nich.

Po dwóch miesiącach istnienia stanął młody pułk przed koniecznością wyjazdu. Stało się tak jak się zwykle dzieje na wojnie. Przyszedł rozkaz i 5-go stycznia 1919 r. ruszył pułk w pole. Wyjechał z Warszawy mjr. Bobrowski z dwoma baonami, jednym dowodził kpt. Sadowski, drugim kpt. Sawicki. Jechano przez Lublin, w kierunku Rawy Ruskiej. Pod Rawą Ruską przeszedł młody pułk chrzest bojowy. Do Rawy, na stację pułk dojechać nie mógł pociągiem, z powodu silnego ostrzeliwania artyleryjskiego. Wysadzono więc żołnierzy w polu i przed 5-tą rano zaczął się atak. Bitwa trwała cały dzień prawie i po przełamaniu linii ukraińskiej ruszył pułk w stronę Lwowa. Wieczorem dnia 10-go stycznia wieczorem wszedł pułk do Lwowa.

Najkrwawszą bitwę przyszło stoczyć 36 pułkowi dnia 13. stycznia 1919 r. Pogrzb 25 padłych w tym dniu pod Persenkówką obok Lwowa żołnierzy „Legii akademickiej“ był świetną manifestacją uczuć Lwowa dla „warszawskich dzieci“.

Skrwawił się w swych krótkich a ciężkich bojach pułk warszawski rzeczywiście ciężko. Nazwiska choć pierwszych zabitych i rannych trzeba zanotować. A zacząć należy od nikogo innego jak samego komendanta pułku mjr. Zygmunta Bobrowskiego. Ciężko ranny pod Rawą Ruską zmarł wzór ten pełnego poświęcenia oficera w szpitalu, łącząc już na zawsze swe nazwisko z pułkiem. Pierwszym rannym oficerem był pchor. Łada (pod Żółkwią). Z żołnierzy jeden z pierwszych padł szer. Rapacki. A potem już długi szereg nazwisk. Zabici: por. Fiweger, ppór. Dziadek-Tarnowski, (umarł z ran), ranni: ppór. Smelkowski z K. M. były oficer armii niemieckiej, ppór. Wojtowicz, ppór. Bednarz, ppór. Kownacki., ot, kilka tylko nazwisk podaje nim dokładna historia pułków nazwiska swych bohaterów na wieki w księgach swych pomieści.

A tymczasem wojna jeszcze nie skończona i nazwisk tych coraz przybywa. Każde z nich łączy się z nazwą jakiejś miejscowości, wsi jakiejś ubogiej, nie raz dotychczas kilka km. tylko wokół znanej, a dzisiaj nazwiskami temi właśnie głośniejszej, i pamiętnej, o, i jak nie raz pamiętnej.

Ma ktoś szczęście, albo go nie ma. Powinnować można 36 pułkowi i tego, że pod Lwów go właśnie los zaniósł, i tego, że jest taki, jaki jest. Bo wszystkie trudy i prace przemina, przemienie ból świeżej dzisiaj rany, wyschną łzy za druhem serdecznym, a pamięć pozostanie dni szczytnych, dni w walce, o której wiek się ma-

rzyło, spędzonych. Danem zaś jest 36 pułkowi walczyć właśnie o jeden z klejnotów Rzplej, i walczyć o jej granice. Gdy kiedyś po latach wspominać już przyjdzie te dni — z jakąż dumą żołnierz zacząć będzie mógł te wspomnienia: „gdy byłem pod Lwowem“...

## FINALE.

### Towarzyszom broni z VI-go pułku \*).

Tak ci i przyszło Wam wszystkim na koniec — Wam z szóstego pułku — I Tobie Kapitanie Modelski, któremu się roilo po młodzieńczej głowie, że dasz rodzącej się własnej oczyszczonej armii, nowych oficerów na wzór i modłę tej podchorążych szkoły, co w ową listopadową noc kruszyła kajdany Narodu!...

I Tobie poruczniku Bogaczewicz, coś szedł w ogień — tak jak na schadzke z ładną dziewczyną — z fantazją i butą siarczystą — jako rycerz bez trwogi i zmayı.

I Tobie podporuczniku Feldstein, — skrajny zwolenniku tej filozofii — która zwie się zaparciem swego „ja“ dla dobra sprawy, a która wiodła Cię „aequa cum mente“ na kule, a dziś na niewolę...

I Tobie poruczniku Struzik, coś pod Optową śród gradu kul z zimną krwią — trwał...

I Tobie podporuczniku Szwarcer, któryś przeżył, nad spokojny żywot inwalidy — niedolę i trud.

Na koniec nam przyszło wszystkim jednaki, — oficerom i żołnierzom, nam cośmy zostali aż do końca — aż do ostatniej chwili — do tej, gdy ze łą pałacą wstępu w oku łamaliśmy błyszczącą stal, by na poharńbienie nie poszła...

Co tam się działo w tych duszach Waszych — Panowie oficerowie 6-go pułku, gdyśmy szli w on pamiętny lutowy dzień na czele podchorążych szkoły — w którą tyle pokładaliśmy nadziei — na to, by pogrzebać je marnie...

Za gardło chwytala Was jakaś zmora — w duszę wżerały się jakieś szpony a oko zachodziło mgłą...

Miarowy, głuchy odgłos kroków — odbijał żelaznem echem o zmarzłą ziemię, o Wasze serca. Na Golgotę Waszą szliście i patrzyliście jak na zatrąte idą Ci, — którym mistrzami być Wam kazano.

I oto wiedliście ich już: Ty kapitanie Modelski, coś im miał dać wiedzę żołnierską i Ty podporuczniku Ogrodnik, coś pokazać im miał, jak się uderza na wroga i bije go — wiedliście ich, ale w niewolę samotną — na żal i na ból i na to najstraszniejsze — na bezczyn.

Co tam się działo w tych duszach Waszych — gdy w ten lutowy, wieczorny zmierzch, maszerowaliśmy wśród ognisk rozłożonych wokoło straży.

Dwadzieścia tysięcy Was otoczyło — bez bronną maleńką garść — dwadzieścia tysięcy! — czy nie wzbiera Wam dumą pierś? — co? cała też w tem Wasza pociecha — marna!

Szliście w cichą zimową noc, w białą bezkresną dal i zdawało Wam się czasem, że to tylko sen, że idziecie znów na czele Waszych kolegów, tych żołnierzyków szarych „na bój“, „na bój“ — „na krwawy bój“.

\*) Z powodu nawału materiału, rzecz tę przeznaczoną do numeru 6-go, w rocznicę Rarańczy, możemy dziś dopiero ogłosić. — Redakcyja.



Ta piosnka tętniła Wam w uszach — tak, jak wtedy pod Kukłami, Kostuchnowką, Kamieniuchą! — odgłosy kroków dudniły jak wtedy — przed sobą i za sobą wiedliście szarą, zbitą żołnierską brać, jak wtedy; tylko nie poczułście przy boku korda a dłoń Wasza machinalnie sięgnąwszy do pasa, nie znalazła rękojeści rewolweru — w tem cała tylko różnica...

„Oj“ nie na bój — nie na bój — jęczały dusze nasze, ale w niewolę — wieszysz podchorążych szkołę kapitanie Wojsk Polskich Modelski!...

Nie karabin maszynowy wiozą za Tobą kolego Feldstein — ale trenowy wóz drabiniasty się toczy a na nim Twój i nasz majątek żołnierski — kilka torb.

Ha, ha!

W uszach tętniły Wam ostatnie akordy tej pieśni, którą śpiewali żołnierze, gdy ostatni raz stanęli w ordynku — bezbronni już i ta pieśń była Wam jako kordyłał ostatni, jako wiatyk na tę ciernistą drogę, którą kazano nam pójść — w nieznaną stronę — na nieznane losy.

Hej! jakie tam obrachunki ze sobą robiliście wtedy w duszy? jakie tam myśli snuły Wam się wtedy po głowach?

Jakie wspomnienia?

Nawałnicą wżerały się one w Wasz mózg — a Wy? Wy śpiewaliście wtedy buńczucznie i hardo o tem, że „Ona jeszcze nie zginęła“, tłumiliście w sobie rozpaczne wycie, które Wam wydierało się z piersi.

A potem spędzili Was, jak stado zwierząt, w ponury, długi budynek, na ten ostatni etap na polskiej ziemi, zanim popędzą Was znów w obcą stronę, gdzie nie usłyszycie już swej mowy, jeno cudzą, abyście odpokutowali tam za to, co Wam się po szalonych Waszych głowach roło.

Pod strażą bagnatów jesteście już — pod oknami Waszemi błyszczą stal do miesiąca — jesteście niewolnikami...

Dolina, 19. lutego 1917.

Rotmistrz Stanisław Kochanowski.

## Poeci-żołnierze.

(Notatka literacka.)

Szalejąca rok piąty zawierucha wojenna przysporzyła polskiej literaturze pięknej wiele nowych talentów, które w utworach swoich rymowanych opiewają przeżycia szarego żołnierzyka.

Spora ich garść zajęła miejsca na Parnasie, by raz jeszcze stwierdzić, że polski żołnierz równie dobrze potrafi władać szablą i piórem. Zaletę tę zresztą odziedziczył on po przodkach, fakt to dla nas bynajmniej nie nowy.

Nie o nich jednak mamy zamiar dzisiaj pisać. Wydane już antologie zebrały i nazwisk i dzieł poetów-żołnierzy nie mało; literatura polska oceni ich twórczość bezstronnie, wyznaczając każdemu z nich należne mu miejsce w areopagu pracowników pióra.

My nawiązując obecną, współczesną nam epokę, z przeszłością, pragniemy wspomnieć o tych, co to ongi władali nie tylko piórem, ale i szablą, z równym nierzadko powodzeniem, z równym zapałem. Nie sięgamy w odległą przeszłość, kiedy to brat-szlachcic w spokoju, pod starym jaworem czy stuletnią lipą siedząc, wdzięczne składał rymy, by na każde wezwanie rzucić wszystko w ką, zamienić pióro na szablę i spieszyć na zagrożone najbardziej stanowi-

sko. Każdy szlachcic był w razie potrzeby żołnierzem, zaprawiany do rycerskiej służby od kolebki, skoro więc talent rymotwórczy przyplątał się doń z woli Bożej, stawał się żołnierzem-poetą. I tutaj atoli skromniejsze zakresłamy naszej pobieżnej notatce granice: mówimy tylko o poetach-żołnierzach, przyjmujących czynny udział w walkach Kościuszkowskich, w Legionach, w wyprawach Napoleońskich; służących w szeregach armii Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego; bijących się chlubnie w tyle pamiętnem powstaniu listopadowem.

Gwiazda Napoleońska szczególniejszych znalazła w polskim społeczeństwie adoratorów i wielbicieli; młodzież spieszyła — mimo liczne przeszkody — do obozu, pod sztandary genialnego Francuza, biła się z lwią odwagą — na wszystkich krainach Europy, a nawet poza jej granicami, ginęła zdala od swoich rodzinnych kątów z okrzykiem niech żyje Polska... Z okrzykiem i z głębokim przekonaniem, że krew nie została przelana na marne, że z kości bohaterów powstaną nowe zastępy rycerzy, którym danem będzie oglądać świt zmartwychwstania.

Napoleon skonał na samotnej wyspie, pierwszej jeszcze grzebiąc przedwczesne nadzieje i marzenie, którym dopiero nasze lata dać miały realne kształty. Po wielu przejściach odgłos nowych strzałów rozległ się po polski obszarach, znajdując oddźwięk donośny w sercach naszej młodzieży.

Nie dziw, że do szeregów pospieszyli teraz, jak dawniej, i pieśniarze-marzyciele, których wrażliwe umysły najłatwiej poddawały się zapałowi, ogarniającemu ogół cały. I tym razem, jak w powstaniu Kościuszkowskim, w Legionach, pod orłami Napoleona, znalazł się przy obozowym ognisku niejeden poeta, by po przebytej walnej z nieprzyjacielem rozprawie, na bębnie kreślić strofy, które częstokroć śpiewała cała kompania, czerpiąc w nich otuchę, zapał i męstwo.

Aczkolwiek żołnierz Kościuszkowski, ośmieszony nieco wierszopis Marcin *Molski* walczył już w szeregach konfederacji Barskiej, mimo to nie jemu, lecz Julianowi Ursynowi *Niemcewiczowi* raczej z wieku i z urzędu należy się pierwsze miejsce w rzędzie poetów-żołnierzy objętej przez nas epoki. Nazwisko to, zapisane w polskiej literaturze na miejscu zaszczytnem, nie wymaga bliższych wyjaśnień, godnie też rozpoczyna szereg owej dzielnej drużyny. Obok dwu wymienionych bije się w powstaniu Kościuszkowskim głośny w swoim czasie naczelnik litewskiego powstania, młody generał Jakób *Jasiński*, autor sympatycznego tomiku bajek, piosenek i wierszy patryotycznych, którego nazwisko pragnął spopularyzować w świecie Adam Mickiewicz w tragedii niestety znanej nam jedynie z paru fragmentów; spopularyzować właśnie jako uosobienie polskiego patryotyzmu i naszej rodzimej rycerskości.

Jasiński pada w obronie praskich okopów, które własną osłaniał piersią; ginie nie chcąc słyszeć o poddaniu się tysiąckroć silniejszemu wrogowi.

Z kolei należy się wzmianka Rajmundowi *Korsakowi*, pułkownikowi wojsk polskich, autorowi „Bibejdy“, „Sądu Jowisza“, oraz innych utworów rymowanych — i Alojzemu *Felińskiemu*, sekretarzowi obozowemu Kościuszki. Postać to nader wybitna, niecodziennem ciesząca się uzaniem. Umiera Feliński niestety zyt wcześniej jako dyrektor liceum krzemienieckiego na Wołyniu, któremu przewodniczył z wiel-



kim dla szkoły i jej wychowawców pożytkiem, ogólny więc żal towarzyszy mu do grobu.

Dalsze ogniwa sympatycznego łańcucha tworzą: Józef *Wybicki*, twórca mazurka Dąbrowskiego: „Jeszcze Polska nie zginęła“, śpiewanego i dzisiaj, zwłaszcza dzisiaj, z równym zapałem, popularnego na obszarach ziem polskich mimo rosyjskiego knuta i pruskich paragrafów; generał Ludwik *Kropiński*, uważany w swoim czasie — jak i Feliński — za znakomitego poetę, który w powstaniu Kościuszkowskim, w stopniu podpułkownika, mężnie stawiał czoło nieprzyjacielowi, czego najdosadniejszym dowodem kilkanaście ran, zdobytych pod Maciejowicami — i wyobraziciel literatury Legionów, Cypryan *Godebski*, autor wiersza do Legionów polskich. On to, obok Korsaka i porucznika wojsk polskich, więźnia, a wreszcie marszałka szlachty powiatu zasławskiego na Wołyniu, Jakóba *Ciechońskiego*, poświęca swe pióro ku upamiętnieniu odwagi bohatera praskiego, Jakóba Jasińskiego.

Współczesny im Wincenty *Reklewski*, serdeczny pieśniarz obozowy, odnosi ranę śmiertelną pod Możajskiem, zamyka powieki na zawsze w pamiętnym roku 1812 w Moskwie. Przyjaciół jego, znany powszechnie pod mianem zwiastuna romantyzmu, dodawać więc może nawet zbyt technicznie, że mamy *Brodzińskiego* na myśli, z ławy szkolnej spieszy do szeregów, by pod Lipskiem otrzymać ranę i wpaść w ręce Prusaków. Mniej znanym jest natomiast wychowaniec Bazylianów buczackich i Pijarów, Ferdynand *Chotomski*, poeta i wcale tegi rysownik, malarz, sztycharz, wkońcu — po wielu przejściach — doktor medycyny i chirurgii. Aleksander *Chodkiewicz*, poeta, dramaturg i chemik, występuje w r. 1812 w roli dowódcy własnym sumptem do życia powołanego pułku piechoty, z kolei zostaje generałem i senatorem kasztelanem Królestwa Polskiego.

Nieden krzyż zasługi i order zdobywa sobie Franciszek *Morawski*, biorący czynny udział w długim szeregu bitew. W r. 1819 zostaje generałem brygady; w powstaniu listopadowym ściera się znowu z nieprzyjacielem pod Grochowem, za co maszeruje na wygnanie do Wołody. Prawdziwy to a piękny typ polskiego patrioty, który i na niwie obywatelskiej i literackiej pracy równie znaczące położył zasługi. Mniejsze niż u Morawskiego zdolności poetyckie przypadły w udziale Antoniemu *Goreckiemu*, bajkopisowi, autorowi wiersza „Zdobycie wawozu Samo Sierra“ i innych. Obaj oni hołdują początkowo klasycyzmowi, przerzucając się z czasem ku zataczającemu coraz szersze kręgi romantyzmowi. Jedyna to zdrada, jaką popełnili w swoim życiu; ujmij ich charakterem bynajmniej ona nie przynosi.

Antoni *Malczewski*, autor „Maryi“, jak go się tytułować zwykło, to znowu gwiazda pierwszego niemal stopnia, a Aleksander hr. *Fredro*, ojciec komedyi polskiej, znany i kochany przez wszystkich, zawdzięczających mu tyle miłych spędzonych wieczorów, to również powaga literacka, znana całemu cywilizowanemu światu.

Powstanie listopadowe ujrzało znowu w swoich szeregach całe, liczne grono poetów niepośledniej miary. Rzucają oni spokojną pracę, dom, rodzinę, przywdziewają mundury, nałamałą się do subordynacji wojskowej, znoszą obozowe trudy i niewygody, w odwadze i męstwie nie dając się wyprzedzić osiwiłym w bojach zawodowym żołnierzom. I jakże owych pieśniarzy nie kochać, jak imion ich nie wspominać z czcią należną.

Do groma ich należy Wincenty *Szeptycki*, żołnierz Napoleński, następnie pułkownik ułanów gwardyi za czasów Królestwa Kongresowego, który rzucawszy zagon ojczysty, dostatki i był wygodny, spieszy w narodowe szeregi, by raz jeszcze zmierzyć się z przemożnym wrogiem.

Maurycy *Gosławski* bije się dzielnie, należy w legii podolsko-ukraińskiej do najgorętszych żywiołów; śpiewa przy ognisku jak skowronek podolski, płacze żałośnie nad upadkiem Zamościa, a strofy jego:

„Już podolskich łańców echem  
Nie brzmi Zamość wszecz i wzdłuż,  
I podolska twarz uśmiechem  
Nie jaśnieje więcej już...“

do dzisiaj nie straciły nic z wdzięku i popularności. Wprawdzie łzawa zwrotka:

„Z wyciągniętą wy tam dłonią  
Wyglądacie nas u wrót,  
A nas w więzach stąd pogonia  
Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut...“

nie sprawdziła się na Gosławskim tym razem, ale mimo to tęskny śpiewak podolski nie zaznał w dalszym życiu szczęścia: umiera za kratą w więzieniu stanisławowskim, śniąc do końca o swobodzie i pomysłnej doli.

Inną kolej wyznaczyły losy autorowi przepięknych pieśni Janusza. Jest on jednym a dosadnym dowodem więcej, jak dziwny posiada kraj nasz dar przykuwania do siebie na zawsze obcych żywiołów. Któżby bowiem, sądząc z marsowej fizygnomii Wincentego *Pola* i z jego utworów, mógł przypuścić, że nie ma do czynienia z rdzennym Polakiem z dzia-  
da pradziada!

Obok wspomnianych, biorą czynny udział w powstaniu listopadowym: wdzięczny śpiewak Bohdan *Zaleski*; równie dobrze znany jego kolega humaniści i przyjaciel, tak odeń odrębny usposobieniem Seweryn *Goszczyński*; autor „Pieśni obozowych“, serdeczny druh Adama Mickiewicza, przedwcześnie na obczyźnie zmarły Stefan *Garczyński*; jeden z najwszechstronniej wykształconych i najzasłużeńszych pracowników pióra Lucyan *Siemieński*; Antoni *Bołoz-Antoniewicz*, poeta wdzięczny, z kolekanoznidzieja rozgłosnej sławy; złotousty Skarga ubiegłego stulecia, wstawiony na obu półkulach kanoznidzieja Hieronim *Kaysiewicz*; gorący i porywający Rajnold *Suchodolski*, autor śpiewu rewolucyjnego „Dalej bracia do bułata!“, popularnej piosenki „Moskalu wygnany, zgryzotą nękaną“, znanego marsza „Krew nam polska w żyłach krąży“, mazurka:

„Różniście nam od ucha  
Tęgiego mazura,  
Wszakżeśmy zuch w zuchu,  
Hura, bracie hura!“

a przedewszystkiem twórca poloneza:

„Patrz Kościuszek na nas z nieba“

i wielu, wielu niezapomnianych pieśni, które często dzisiaj jeszcze wyciskają nam z oka łzę rozrzwienia; Konstanty *Gaszyński*, przyjaciel wypróbowany i doświadczony Zygmunta Krasińskiego; układający pieśni, acz niezbyt fortunne, przy ogniskach obozowych, wychowaniec krzemieniecki, Tomasz August *Olizarowski*; człowiek wielkiej nauki, czynny lat sporo wśród nas we Lwowie, z poety i żołnierza poważny badacz — August *Bielowski*; Gustaw *Zieliński*, długoletni sybirak, autor poematów „Kirgiz“ i „Stepy“; Franciszek *Kowalski*, Wołyniak, podporucznik legii podolsko-ukraińskiej, walczącej tak



dzielnie w Zamościu, pamiętnikarz, tłumacz Moliera, znany autor „Fraszek”; Spirydion *Ostaszewski*, również zamościanin, następnie sześciolatek wygnaniec na Syberyi, autor bajek pisanych w narzeczu ludowym na Rusi i kilku może innych, których nazwiska na razie wyleciały nam z pamięci.

O uczestnikach powstania styczniowego nie powinienem właściwie pisać na tem miejscu, nie była to bowiem służba w armii regularnej, nie byli żołnierze w utartem słowa znaczeniu. Wyjątek jedynie uczynić mi wypadnie dla serdecznego pieśniarza Mieczysława *Romanowskiego*, ten bowiem na polu walki bohaterską poległ śmiercią.

Na zakończenie pobieżnej notatki zapisuję nazwiska Konstantego *Tymienieckiego*, żołnierza Kościuszkowskiego, z kolei wzorowego gospodarza i prawdziwego opiekuna włościan, tłumacza klasycznych dzieł obcych, i Ryszarda *Berwińskiego*, przebywającego czas dłuższy w służbie wojskowej tureckiej, jednego ze znakomitszych poetów pomickiewiczowskich, posła gnieźnieńskiego na Sejm berliński.

Tak się przedstawia mniej więcej w głównych zarysach cała drużyna poetów-żołnierzy; żołnierzy różnej miary, poetów różnego natchnienia. Spis to niezupełny, w każdym jednak razie daje już pewne wyobrażenie o tem, jacy właściwie ludzie pracowali na dwu tych, tak daleko od siebie odbiegających polach. Nie wszyscy oni byli poetami obozowymi, zaledwie kilku z nich tworzy wśród gwaru i zgiełku, pod rozbitym na prędee namiotem, lub przy ognisku polowem; paru innych znowu opiewa rymami już po opuszczeniu wojskowej służby, niedawnych przejść smutnie niestety zawsze kończące się dzieje; znaczna wreszcie większość nie upamiętnia bynajmniej w swych utworach owych chwil wojenki i tułaczki z miejsca na miejsce, mimo to wszyscy zaliczeni być winni do jednej, wspólnej grupy, do grupy poetów-żołnierzy.

Nie każdy z nich skrzydłami niebios dosięgał stropu; niekażdy króla-orla otrzyma miano; różne były to natchnienia, różne loty, pamięć atoli o wszystkich równie piękna i droga.

Swoich poetów-żołnierzy Polacy wstydić się nie potrzebują. Zaczynając od owych pierwszych ze sztabu Kościuszki, a kończąc na ostatnim, nieszczęśliwym *Romanowskim* — o każdym z nich z osobna śmiało powiedzieć można, że hasłem dlań były słowa rozgłosnego poety szesnastego stulecia:

„Służmy pocziwiej sławie, a jako kto może,  
Niech ku pożytku dobra spółnego pomoże!”

*Michał Rolle.*

## Szalony lot.

— Cześć!

— Dokąd idziesz?

— Idę odwiedzić Witolda. Jest bardzo podniecony, pono właśnie kończy konstrukcję latawca swego wynalazku, a mówią fachowcy, że będzie rzecz to epokowa.

— Wierzę najzupełniej. Tyle skrupulatności połączonej z całą wiązką iskier Bożych — niezwykle, niezwykle. Rokuję wynalazkowi Witolda świetną przyszłość. Choć, powiedz mi sam, czy możnaby tego się spodziewać (po Witoldzie? Ten precyzyjny mechanik,

najlepszy uczeń szkoły lotniczej i ozdoba naszej eskadry jest w gruncie rzeczy człowiekiem o zupełnie słabej woli...

— Ja wydałbym sąd oglądniejszy —

— Nie, nie, inaczej pomyliłbyś się. W Witoldzie jest dużo wytrwałości i moc panowania nad sobą, ale niema silnej woli —

— Jakto? Przecież sam się zbijasz, czyż bowiem wytrwałość i opanowanie siebie samego nie jest najlepszym probierzem silnej woli? Jak możesz zresztą odmawiać silnej woli człowiekowi, który tyle i tak świetnych odbył wzlotów tak na lotnisku jak i na froncie?

— Nie rozumiesz mnie. Każdy człowiek elektryzuje atmosferę swą wolą, budując w niej zarodki tego, czego życzy sobie. Im silniejszą jest wola, tem więcej elektryzuje atmosferę psychiczną. Wszystko, co wchodzi w obręb jego działania, chcąc, niechcąc dostraja się do jego pragnień. Trzeba umieć pragnąć. Chcieć silnie. Człowiek silny nawet martwą naturę ułoży i wciśnie w karby swej woli. Słaby daje się naelektryzować krugiemu.

— Więc?

— Witold jest typowem zerem dla mnie. W nim nie wyczuwam żadnego napięcia woli, a posiadam coś jakby zmysł odczuwania woli. Czy widziałeś jego drobiazgowość, cierpliwość, uwagę i punktualność, tak obcą, tak narzutową, tak niezrozumiałą w jego naturze rozbijającej kresowca polskiego? Gdybyś był znał naszego komendanta szkoły lotniczej, ujrzałbyś pierwowzór Witolda. Witold jest szklanką z bezbarwną wodą, a tobie widzi się, że z kolorowem płynem — a to tylko barwa tapety, przed którą szklanka stoi. Tak, kolega nasze żyje poprostu zelektryzowany przez komendanta.

I Alfred począł mi opowiadać o kapitanie Y., Francuzie, jednym z tych, którzy wyrobili Francuzom sławę najlepszych mechaników. Szliśmy pod barakiem naszego lotniska, który cały był przeznaczony na laboratorium porucznika Witolda S. Przez otwarte okna doleciał nas głos wynalazcy.

— Proszę cię, Adamie, ten papieros lepszy...

Alfred jakby otrząsł się.

— Profesor... Ten, widzisz, jest człowiekiem o olbrzymim potencjale elektrycznym. Widziałeś jego obłądnie spokojne oczy i wiecznie najeżone włosy i długie, nieruchome, stale zacziśnięte pięści? Odnoszę wrażenie, że Adam nasz mógłby i tygrysy elektryzować, jak jogisz jaki. Doleciały nas urwane strzępy rozmowy, właściwie gość mówił, Witold milczał.

— narodowy... tradycja... rasa... obce wtręty...

— Nie lubię wiekiuistych polityczno-historycznych rozmów naszego profesora. Odwodzi myśli Witolda od mechaniki, politykuje, prawiać o historii, gdy mówi o polityce, obraca nią w cieniu historii.

W drzwiach rozminęliśmy się z politykiem naszym. W laboratorium Witolda uderzyła mnie miła zmiana. Na stołach leżały jak zawsze stosy papieru z rysunkami; w kątach tuliły się modele śmig, płatów, sterów, z drugiego przedziału wyglądały najnowsze silniki, nic się zasadniczo nie zmieniło. Ale w jednym rogu między zepsutemi stawidłami a gotowym, już ulepszonym zbiornikiem, widać było przyrząd, zarzucony płachtą namiotową. Najnowsze dzieło kolegi! Czyżby to był epokowy aparat do utrzymania równowagi, o którym w ostatnich dniach tyle było mowy? Nie, przyrząd był już przez Witolda zmontowany i wypróbowany, a znaleźliśmy już na tyle słabostki naszego wynalazcy, że wiedzieliśmy, że pod płatem impregnowanym spoczywają płody ducha jeszcze nie doświadczone należycie. Radość, malująca się na twarzy wy-



nalazcy, potęgowała nasze zadowolenie. Radzi byliśmy z nowej pracy Witolda choćby dlatego, że chwała wynalazcy spływała zaszczytnie na całe nasze lotnisko. Witold był dziś dziwnie podniecony. Chłopak, który nigdy się nie chwalił, a gadatliwy z natury o swoich genialnych pomysłach niepytany nigdy nie opowiadał, tym razem rozgaśniał się na dobre.

— Mam świetną rzecz, przełomową na warstacie. Coś, co przeszło moje najśmielsze marzenia. Buduję silnik, a właściwie śmigę — monstre-śmigę, słowem, ósmy cud świata. Wyzyskuję ruchy międzydrobinowe ciała. Popatrz: Silnik niepospolicie mocnej budowy obraca pierścien. W pierścieniu tym, dzięki mej tajemnicy, szybkość przenosi się z drobin na drobinę z coraz większym spotęgowaniem. Cały pierścien rozpada się na tysiące pierścieni, które wirują coraz chyżej. Na obwodzie uzyskałem chyżość, od której w głowie się wprost mąci. A da się nader precezyjnie regulować tym oto przyrządem. Też moja tajemnica! Śmiga, umieszczona na obwodzie pierścienia będzie się kręcić, jak sto dyabłów! Do tego chemia ułatwia mi wkręcanie się śmigi w powietrze, choćby najrzadsze, jednakowoż o tem jeszcze cyt! Popatrzcie jeno — W trzecim pokoju na stołach roilo się od przyrządów „kuchni łańskieja”. Retorty, kolby i kolbki, sączki, chłodnice, węże gumowe i tygle zapełniały całą ubikację.

— Jestem tylko nieco zmęczony — żyję sztucznem podnieceniem —

Oczy Witolda fosforyzowały.

— Poczciwy Adam odwiedził mnie — co, krzysz się, może nie lubisz Adama. Ej, chłopcy, gdybyście żyli tem podnieceniem, co ja, odczuwalibyście, jakim wytchnieniem jest obcowanie z człowiekiem podobnego pokroju, co nasz „profesor”. On stwarza mi w mózgu luki wypoczynkowe a nie przytłumia myślenia. Wprowadza zmiany w myśleniu. Gdybym bawił się jak Alfred, w kabarecie, no, nie obraż się, Fred, nie mógłbym, doprawdy, pracować tak intensywnie. Żeby wam prawdę rzec, cała moja ostatnia konstrukcją wpadła mi do głowy po przedostatnich odwiedzinach Adama...

Chciałem się dopytywać o szczegóły, choć pierwszej części wynalazku Witolda, tak mnie ciekawość paliła, ale Alfred widząc zdenerwowanie przepracowania u kolegi, począł bawić go lżejszą rozmową, aż go nakłonił do odpoczynku.

Witold był istotnie podniecony wówczas.

Podniecenie to nie odstąpiło go w dzień, gdyśmy próbowali wynalazku jego.

W zbitej grupie stanął generał X. z naszym kometantem, switą oficerów, udekorowaną szeregiem panów cywilnych, wśród których dużo było dziennikarzy, wprost dyszących żądzą widzenia pierwszego wlotu najszybszego latawca na świecie. Szmer rozmów leciał wśród tłumu. Witold oczywiście siedział jako kierownik latawca. Adam głąskał z lubością srebrzyste płatki ptaka. Wdziewając hełm, zostałem bowiem obserwatorem-pasażerem, popatrzyłem jeszcze na Alfreda, który trzymał śmigę w rękach do rozpedzenia, patrząc badawczo a smutnie na Witolda. Witold był szczęśliwy aż do gorączki.

Start. Huki silnika. Polecieliśmy. Twarzą ku wschodzącemu słońcu. Z miejsca osiągnęliśmy taką szybkość, że nie nie widziałem pod stopami, tylko szarą plamę z zawrotną chyżością umykającego lądu. Huki silnika były straszne. Szum w głowie. Przymknąłem oczy. Dyabelska prędkość. Co to? Zdawało mi się, że podemną wiruje globus, taki jak w szkole widziałem. Gruby ład Azji z głową i brodą — Kamczatką, pokręcona

sylwetka Europy, oceany i zwięzający się zarys Ameryki. Znowu przymknąłem oczy. Nagle huk tysiąca gromów i zawirowaliśmy w powietrzu.

Zemdlałem.

Wnet, dzięki ochronnemu aparatowi pomysłu Witolda ocalony, ocuciwszy się, poskoczyłem do towarzysza. Stał obok aparatu uśmięknęty.

— Nieco niemiłe lądowanie, co? Na drugi raz pójdzie już lepiej. W każdym razie mój ochraniacz lądowania nie zawiódł.

— A niech cię kaczki kopią...

Choć doprawdy nic mi nie bolało. Było mi dziwnie błogo. Oczyma chłonałem światło jasne południa. Do dyaska, lecieliśmy długo.

Zielone pole, złote łany cudnej pszenicy, w dali lasak dębowy, w którym chowała się droga, obok której spadliśmy. Na lewo, na wzgórku winnica ciemniała a jeszcze dalej widać było leniwo obracające się skrzydła wiatraka, innego, niż widywane w mych stronach.

— Zalecieliśmy daleko setnie!

— Trzeba szukać ludzi, aparat może zostać tu. Maszerujemy!

Puściliśmy się drogą, która skręcała zaraz za wzgórkim. Po dłuższym czasie spotkaliśmy ludzi. Szły kobiety jakby zgłodniałe, w drewnianych patynkach, mężczyźni chuderlawi w pończochach i dziwacznych kapeluszach. Gdzieś widziałem takich...

Zrównaliśmy się. Chłopi zdjęli nabożnie kapelusze na nasz widok i pozdrowili nas czołobitnie.

— Cześć wam, o rycerze! ...po francusku.

Opanowało nas dziwne uczucie. Lecieliśmy na wschód a zalecieliśmy do Francji. Czyżbyśmy obłecili kulę ziemską? Najprawdopodobniej.... Nic nie rzekłem do Witolda, a i Witold milczał.

W końcu przerwał milczenie.

— Co to za wieś?

Wieśniacy pogatrzili na nas ze zdumieniem, aż jakiś starszy rzekł:

— Vraicourt, szlachetnie urodzeni cudzoziemcy!

— Jaki departament?

Milczenie.

— Jaki arrondissement?

Chłopi patrzyli coraz nieufniej na nas i podejrzliwiej.

— W ładny zaścianek wlecieliśmy...

Póki nie zmiłował się pewien z gromadki i rzekł:

— Wieś ta należy do jasnie wicehrabiego de Moenvres!

— W osobliwym zakątku usadowił się pan vicomte — zauważył Witold — czyż n. p. ta droga nadaje się pod auta? Czy widziałeś druty telefoniczne?

Nic nie odrzekłem.

— Wpadliśmy w jakiś serdecznie nędzny zakątek, powtórzył Witold — widzisz chłopów — jacy to nędzarze, wychudli, schorzali, obdarci w swych średnio-wiecznych strojach.

Szliśmy ku wiosce, która wyglądała może jeszcze nędzniej od ubogich gniazd na naszych wschodnich kresach. Obok nas przesunął się jakiś panek o podejrzanym wyrazie oblicza. Podstępno-służalcze oczy przechodnia tak nas zajęły, że nie zwróciliśmy uwagi na jego strój. Ale jedno nas uderzyło. Nieznajomy miał na głowie brudną perukę z śmiesznym harcapiem. Zamiast roześmiać się, popatrzyliśmy jakoś nieswojsko po sobie...

Pan w brudnej peruce począł nawoływać za obdartymi wieśniakami grubiaństwa i wymachiwał naha-jem.



Głód zaczął nam doskwierać. Na szczęście weszliśmy do Vraicourt. Odrazu skierowaliśmy kroki ku plebanii, która otulona winogradem, przylepła do pięknego i okazałego kościoła. Zgrzybiały proboszcz wyszedł na nasze spotkanie, powitawszy nas pozdrowieniem Chrystusowem. Szepleniąc, zaczął nas zapraszać bliżej, gościć, obdarzał nas najwyszukańszymi tytułami rycerskimi, aż Witold musiał mruknąć

— Mamut...

Starowina najwidoczniej dawno nie widział kogoś innego, niż swych nędznych parafian.

— Sławetni panowie może w Paryżu bywali — już tak dawno nikt nie był ze świata — latami można tu siedzieć bez jakiegokolwiek wieści.

— Daleko stąd do kolei? przerwałem wreszcie wyprawę sędziwego plebana.

Starzec wytrzeszczył jeno zbielełe oczy.

Powtórzyłem raz jeszcze, głośniejsze.

— He?

Zaciąłem zęby — głuchy widać staruszek jak pień. I nie pytałem go dalej. Zwłaszcza, że poezestunek na plebanii był iście staropolski, legendarny.

Gdy po x daniach i po świętych puharkach wina orzeźwiliśmy nieco i zleciał z nas jakiś przynębiający mstrój, krzyknąłem do ucha gospodarzowi pytanie, czy poczta nie dochodzi do Vraicourt, że tak biadał na odcieście od świata.

Starowina tym razem usłyszał.

— Poczta, najlaskawszy dobrodziej? Któż pisze pocztą? By listy stały się dokumentem dla tajnych gabinetów? By z najniewinniejszego słowa nie ukuto oskarżenia, które cię na szafot powiedzie?

Bratanku mój, bratanku...

Szloch cichy wydarł się z głębin piersi proboszcza.

— Bratanka mego policja uwięziła i katuje już lata całe.

— A sąd co? przerwałem —

— Na co sądów? Czy mało ludzi sprzątnięto tak, brevi manu?

Zrobiło nam się jakoś tak przykro, że czempredzej pożegnaliśmy gościnne progi proboszcza.

Ledwie weszliśmy na wyrwistą ulicę wioskową, zaszedł nam drogę młodzian o rozwiehrzonej czuprynie w berocie na głowie. Rajtuzy i buty, obłożone zresztą, dosyć przystawaly do cygańskiej postaci młodzieńca, ale najmniej zielony frak z dużymi guzami i suty żabot.

— Karnawał w lecie, czy co u stu dyabłów?

Jakaś straszna myśl przeleciała przez zwoje mego mózgu, ale bałem się wyrzec ją głośno. Witold był raźniejszy i sam zaczął maskę. Zaczepiwszy otworzył szeroko ramiona i krzyknął srebrzysto-dźwięcznym głosem.

— Witajcie, czy i wyście wędrowni studiosi? Jam student sorboński, George de Maltouche me miano!

Uspokoilem się. Dawno postanowiłem nie dziwić się niczemu, co wykwitło na bujnej glebie Quartier Latin.

\*Witold poszedł szukać benzyny, ja zaś chwyciłem się książek, które Maltouche niósł pod pachą. Był tam Jean Jacques Rousseau i Liderot, d' Alembert i Montesquien w stylowych, społecznych oprawach, same pierwsze lub prawie pierwsze wydania, świetnie zachowane. Oglądałem je z lubością; nigdy nie tailem się ze słabością do książek. Zapytałem się tedy swego najnowszego znajomego, gdzie nabył takie pyszne egzemplarze.

— Nabył, przyjacielu i bracie? Takich książek — rzekł to z naciskiem — na straganie nie kupisz, ni ci żyd-antykwaryusz nie przyniesie w worku, jeno z ręki do ręki braci przechodzi.

— Jakiś mason... pomyślałem sobie, ale żeby coś mówić, zacząłem rozmowę o Montesquien, którego niedawno, przypadkiem, z braku innej lektury — wyznam otwarcie — czytałem w przekładzie Boy'a.

Słowa moje były pociśnięciem tajnej sprężyny. Student zaczął mówić długo i szeroko. Wymachiwał rękoma, wzdychał, rękę przykładając do lewego boku, oczy wznosił ku niebu. Mówił nieznośnie, wyszukiwanie. Ale pozwalałem mu mówić. Język jego był najcudniejszą francuzczyzną, jaką słyszałem a organ mowy młodzieńca był istotnie nader pociągający. Przebaczałem mu, że właściwie jego perora nudziła mnie.

Wywodów naiwnych, obcych, brzmiających jak głos z tamtego świata, nie przerwał nawet Witold, który z bardzo stropioną miną oświadczył, że w jedynym sklepie wsi nikt ani słyszał o benzynie.

— Musimy wybrać się do miasteczka, ma być siąd o godzinę drogi. Tymczasem aparatu bez opieki zostać nie możemy.

Coś mnie ścisnęło za gardło.

De Maltouche towarzyszył nam, deklamując ciągle o filozofii, społeczeństwie, przesadach.

Lęk jakiś tak tłukł się w nas, że nie słuchaliśmy go.

Za zakrętem ujrzelśmy latawiec nasz. Student na widok maszyny osłupiał.

— Co to jest?

Buchnałem śmiechem.

— Aeroplan, którym przylecieliśmy, czyż tak różny od waszych trójpłatowców?

— A-e-r-o-p-l-a-n? Przylecieliście?

Pobladł i zaczął drzeć na całym ciele.

— Na miłość Boską, uciekajcie — spala was, oskarża was o ezarnoksięstwo, ratujecie się! mówił, składając błagalnie dłonie.

Witold wybuchał.

— Kto nas ma spalić? Któż u dyabła tutaj sądzi? Czyś ty obłąkany?

Moje podejrzenie było już skryształizowane.

Spytałem się George'a:

— Kto panuje we Francji?

Blady student rzucił przez zęby:

— Ludwik XVI...

Co ze mną się stało, nie wiem. Witold stał jak przygwożdżony do ziemi. Wreszcie skoczył do aparatu i zaczął czytać coś na mierniku, obok siedzenia umieszczonym.

Pot kroplisty spadał z jego czoła.

Student uciekł.

Wreszcie Witold krzyknął:

— Mam!

I nastała długa, męcząca chwila ciszy.

Widziałem jak Witold zbierał siły. Aż poczał mi tłumaczyć.

— Jak ci wiadomo, ziemia obraca się dookoła słońca z zachodu na wschód, z szybkością 30400 m. na sekundę. Kto leci z taką samą szybkością w tym samym kierunku, co obrót ziemi, będzie miał oczywiście stale tę samą godzinę. Dzięki pewnej pomyłce wziąłem jeszcze większą szybkość. Tedy przelatywałem do każdej miejscowości na wschód coraz wcześniej. Regulator pękł mi. Osiągnąłem szybkość taką, że do napisania cyfry tej musiałbym zużyć niesłychanie długiego paska papieru. A zatem zaczęliśmy lecieć coraz bardziej wstecz w czas. Wirowaliśmy tak dokoła kuli ziemskiej, aż opadliśmy na... XVIII. wieku!

Milczałem.

Twarz Witolda zdradzała rozpacz.

— Ale kto wywołał błąd ten w regulatorze? Kto? Kto mnie pchnął w takie straszne czasy? Kto?



— Kiedyś pracował nad regulatorem?  
 — Pamiętasz, wtedy, gdy Adam był u mnie na odwiedzinach. P  
 W głowie mi zaświtało.  
 — Adam!  
 — Pleciesz! Kłamiesz!  
 — Tak, Adam. Oczywiście nie bezpośrednio. Jest to człowiek o magnetycznej woli. W całym swym ukochaniu przeszłości, historyzmu, w pełni swego gallofilstwa nastroił tak drobiny wszystkie twego stopa potencjałem swej energii, że twój cudowny pomnażacz szybkości zaniósł cię w samą paszczę francuskiego ancien régime'u...  
 Witold jęknął i wskoczył bez niczyjej pomocy na siedzenie aparatu.  
 Ja za nim.  
 — Toldek, co robisz?  
 A on chwycił za jakąś rączkę.  
 Zdawało mi się, że mam głowę jak gigant olbrzymią i wewnątrz huknął mi granat. Błysk i wstrząs...  
 — — — — —  
 Otworzyłem oko jedno. Drugiego nie mogłem.  
 Nachylona nademną twarz niewieścia.  
 — Ten będzie żył, panie doktorze...

Maryusz Nowina.

## Żołnierzyk polski.

(Sylwetka).

Nie znam jego nazwiska. Lecz gdybym je znał nawet, nie zdradziłbym go wam tutaj. Mój żołnierzyk gniewałby się na mnie za to. Jest mu bowiem dobrze w tym szarym mundurze, na którego kołnierzu biegnie tylko wężykowata naszywka Piłsudczyków. Innych oznak nie posiada. Tytułów niema i nie szuka ich nawet tam, gdzie tak obficie krew swoją leje. Jego młoda prosta dusza nie rozumie całej pretensjonalności szumnej sławy. Może tylko zamarzy czasem, aby imię jego wspomniano w rozkazie i aby towarzysze broni usłyszeli je z ust komendanta.

Poznałem go przypadkiem. Wracalem z featru, idąc po ciemnych, smutnych ulicach naszego miasta. Nie znał Lwowa, więc prosił mnie o wskazanie drogi. Poszliśmy razem.

Miał wówczas lewą rękę na temblaku. Ukraińska kula poszarpała mu ścięgna. Ból dojmujący przejmował go od czasu do czasu. W szpitalu jednak trudno wyleżeć. Nie ma się tam nikogo prawdziwie znajomego, nikogo bliskiego. Przykro patrzeć, jak do każdego przychodzi ktoś codziennie, rozmawia, przynosi wieść od znajomych, śmieje się razem i smuci nad utratą wspólnych krewnych lub przyjaciół.

On zaś nikogo tu nie zna. Jest z Krakowa, gdzie mieszka jego rodzina. We Lwowie niema bliskich, prócz tych wszystkich, którzy mu są bliscy we wspólnym ukochaniu ojczyzny. Dla nich też przyszedł. Pospieszył im na pomoc w chwili ciężkiej, w czasie bohaterskich walk listopadowych.

Nie znając Lwowa, mając o nim niejasne pojęcie, jak wszyscy na zachodzie, nie zdając sobie dokładnie sprawy ze stosunków narodowościowych w Galicji wschodniej — pokochał nasze miasto za jego bohaterstwo i wytrwanie. Jest pełnym podziwu i zachwytu. Śmieje mu się jego żołnierska dusza do tych ludzi, którzy oto cztery i pół miesiące zma-

gają się nie tylko z wrogiem zbrojnym, ale i podstępny i okrutny, nie zważając na barbarzyńskie pociski, które rażą spokojne ich domy i kościoły, żyją w głodzie, chłodzie i ciemności, a mimo to trwają upornie w walce o ten szmat ziemi, który ojcowie ich najdalsi kasami swemi ubielili, kulturą wznieśli, cywilizacją zabudowali, orężem wywalczyli.

Kocha nas za to ten młody żołnierzyk. Oj! młody on jeszcze, a przecież kawał życia zeszedł mu na wojnie. Od pierwszych chwil wojny jest w szeregach. Był w Legionach Piłsudskiego, a potem z armią austriacką przeszedł wszystkie fronty. Z ławy szkolnej podniosła go wojna i wymizerowała go, znękała. Siedzi oto teraz przedemną blady, jednej kropli krwi zdaje się w twarzy niema.

A cóż ci to, żołnierzyku drogi? Gdym cię ostatni raz widział, miałeś lewą rękę na temblaku, a teraz prawą masz obandażowaną?

Rozumiem. Znowu nie mogłeś wysiedzieć w szpitalu.

Jeszcze zdrow nie był i lewa ręka nie była jeszcze dobra, gdy znowu poszedł. Gdzieś tam zabłąkał się nieprzyjacieli na przedmieścia. Poszedł wraz z innymi, słabszy od innych i bronił tego miasta, w którym niema nikogo z bliskich, ostatkami sił bronił, póki mu kula dłoni prawej nie przeszła.

I oto znów jest w szpitalu, którego tak nie lubi i znowu czeka chwili, kiedy mu rana na tyle przyschnie, aby mógł walczyć dalej.

Może w chwili pierwszej, gdy szedł na obronę Lwowa, szedł z rozkazu, ale nie z pełnego przekonania. Może wątpił i pytał się sam siebie w swej prawej duszy, czy istotnie za sprawiedliwą sprawę walczyć mu każą? czy w istocie o kraj polski tu idzie, a nie o chimeryczny honor lub przewrotną rację stanu? Może tak myślał dawniej.

Dzisiaj wie wszystko. Patrzy po owych murach poszczerbionych, po rozwalonych domach, po tych brukach cichych wieczorem, po których w poświecie księżycy błyszczą pobite szkła okien, słyszy codziennie głos dzwonów żałobnych, widzi, jak na jego salę w szpitalu codziennie nowe ofiary przynoszą, ze swego okna słyszy spazmatyczne łkania tych, którzy w pobliskiej kostnicy ojców, synów, żony lub matki odnajdują. I rozumie dziś wszystko.

Czyżże jest naród jeśli nie uświadomionym, stanowczym upornym zastępem, który walczy o dobro wspólne, o prawa swoje, o dziedzictwo?

Dobrze sądzisz, szary żołnierzyku polski!

Tu, na dawnych polach lwowskich dokonywa się prawdziwe zjednoczenie twojej ojczyzny. Tutaj ty i legion tobie podobnych pisze manifest, świętny, wielki, mocny i wielopomny — niezatartymi głoskami ofiar nieprzeliczonych, poświęcenia bezgranic. Tu odbiera Polska chrzest dzieci, który ją wzmocni i spotężni.

Z mógł rycerzy swoich bronić się można mężniej i skuteczniej, niż z murów twierdzy kamiennej.

Jan Paradowski.

## Przy telefonie.

Mroźna noc styczniowa, wyiskrzona tysiącem gwiazd, cicha, spokojna, śniegiem ubielona. Gwar na zazwyczaj wieś podmiejska śpi. Kiedyniekiedy zawyje pies, zwróciwszy zaspaną mordę ku złocistej konstelacji Orjona, lub tupot miarowy patroli przypomni, że na świecie toczy się wojna.



W białym murowanym domku, kołowrotem od gościńca oddzielonym błyska słabe światło. Pod oknem, przez które przeprowadzono kilka czarnych i brązowych drutów stoi mały stolik. Na nim aparaty dwa telefoniczne, zoszyt z notatkami, lampka naftowa, ołówek, zegarek... Przy stoliku siedzi młody chłopak, pacholę prawie, głowę na dłoni oparł, czuwa...

Naokół spokój, cisza niezamącona.

Pod przeciwną ścianą słychać równy oddech towarzysza, któremu wojenka bynajmniej nie przeszkadza spać snem sprawiedliwego. Zmienili się o północy; służba nie śnie ani na chwilę uledeż przerwie.

Chłopiec czuwa.

Blady, płomień lampki migotliwym światłem rozjaśnia stół, aparaty, najbliższe otoczenie.

Kąty zaległ mrok.

Cisza, przerywana tylko miarowym oddechem śpiącego.

W mroku zaczyna się coś poruszać, jakieś postacie wyłaniają się z szarej masy, widma snuć się zaczynają po kątach. Przyjaciele, koledzy, rodzeństwo...

Tak niedawno śleczął jeszcze nad książką, a dziś...

Zielona bluza żołnierska niezgrabnymi fałdami garbi mu plecy, zwisa z wątłych ramion; ciężkie buty, jakby ołowiem przykuwają go do ziemi, ścigając swym ciężarem z podniebnych sfer młodzieńczej fantazyi. Żołnierzowi marzyć nie wolno, żołnierzowi dziwno w krainę piękna się unosić. Jego zadaniem zabijać, palić niszczyć. Oh! ciężkie jest zadanie żołnierza.

Inaczej to wyglądało, gdy w dobrze ogrzany pokoju, na miękkim fotelu przeżywało się z zapartym oddechem, wściekły chłopski atak pod Racławicami, wichrowe szarże Samo-Sierzy i Stoczka, huraganowy ogień działek ojca Bema. Tak się wtedy ładnie marzyło, tak ładnie...

Z mrocznych kątów wychodzą wspomnienia tam tych czasów spokojnych, wygodnych. Inaczej się śniło, hej inaczej! Ale niech tam, byle dla Niej, byle dla Niej.

Żołnierz dumna, lampka żółty krąg znaczy na suficie.

Naraz w ciszy nocnej runął wystrzał.

Coś zawył, zachichotało, pocisk poderwał się i z szumem leci coraz bliżej, bliżej...

Pękł!

Za nim drugi, trzeci, dziesiąty...

Żołnierz spokojnie wziął do rąk słuchawkę.

Sygnal.

Rozmawia.

Za chwilę odchodzi meldunek do grupy, że baterie nieprzyjacielskie ostrzeliwały K.

A potem znowu cisza. Godziny wleką się powoli, z jednostajnym tykotem zegarka.

Żołnierz czuwa.

Zmęczone powieki tak okropnie ciężą, chciałyby się rozprostować wszystkie kości. Znikają powoli aparaty, znika okno, znika migotliwa lampka i wokół snują się tylko dawne postacie, sceny przeżyte, wizje. Snują się, kłębią, wirują, coraz gęstsze, coraz bardziej chaotyczne. A przez ten kłęb splecionych widm przebiega się jedna myśl, która uporczywie świdruje napięty mózg —

Byle nie zasnąć, byle nie zasnąć!

Coś zacharczało, coś jęknęło mu nad uchem. To telefon — powiada świadomość. —

Ręka mechanicznie podnosi słuchawkę do ucha.

„Tutaj... Kontrola linii?... Dziękuję!“

Znowu cicho, tylko uśpiony towarzysz sapie pod przeciwną ścianą.

Czarne okna zaczynają szarzeć. Z mgieł porannych wyłaniają się powoli kołowroty, przydrożne drzewa, domki, kręcący się żołnierze.

W izbie obok budzi się gwarne, obozowe życie. Żołnierze biegną do studni, toaleta poranna zaczyna się na wielką skalę. Wkrótce nadjeżdża kuchnia polowa, przywiezie kawę...

Telefonista wstaje ze swojego stołka, przeciąga się z zadowoleniem. Bogu dzięki znowu jedna noc szczęśliwie minęła, Bogu dzięki już zaświtał dzień.

Podchodzi do śpiącego towarzysza:

„Kazik, wstawaj, trzeba iść po kawę!“

Na pozycyi, w lutym 1919.

*Roman Petelenz, kanonier.*

## Tęsknota.

Czekam Cię zawsze — gdy za mgłą liliową

Zagaśnie słońce bladą, drżącą smugą

I wieczór zwiśnie ponad moją głową,

W noc się zmieniając, w noc czarną i długą. — —

Czy znów Cię ujrzą? Nie tuszę — Bez wieści

Dnie ciężkie płyną i ponure noce,

Tyle w nich smutku i tyle boleści;

A lęk złowrogi mem sercem trzepoce — — —

I działa jeno wtór grają swój krwawy,

Kulę z chichotem gwiżdżą ponademną,

A ja napróżno wyteżam wzrok łzawy

W dal nieprzejrzaną, zamgloną i ciemną. — —

Czasem, jak gwiazda jeno grozą blada,

Rozświecili noce snopami jasnymi

Szrapnel, co z hukiem półkolem opada

Pomiędzy domy, przywarte do ziemi — — —

Niekiedy rannych odgłosem jęk dzwoni,

Sen odlatuje od pobladłych twarzy —

Miasto znów ginie w mroków głuchej toni; —

W chmurach się krótko światło piekiel jarzy — —

I tak tu tęskno — Świat taki żałosny,

Oczy znużone już Cię nie obaczą —

W mglistem zaraniu nadchodzącej wiosny

Brzozy drżą z cicha — — — i płaczą i płaczą — — —

*Janina Minasowiczówna.*

## Przesłuchanie.

(Szkic z odcinka.)

Otworzyły się drzwi kwatery. Do chałupy z zimnem marcowego rana wszedł Kazik i jakieś postaci w czapach moskiewskich, w żółtawych szynelach niemiłosiernie obdartych i straszliwych „sapagach“, a twarze przecież swojskie, pogodne, wesołe...

— Co to? Co to?

Byliśmy tak zdziwieni, że doprawdy, założyłbym się, że i święci bizantyńscy i członkowie domu



Habsburgów i zwierzęta grzebiące myśliwego, ozdobne okropne ściany chaty, szeroko pootwierają oczy, Kazik oznajmia.

— Melduję posłusznie, Polacy ukraińscy... Porucznik stwierdza papiery, czyta „śmiertelne legitymacje“ i istotnie. X-ty Kureń, y-ta sotnia — i polskie nazwiska, piękne nazwiska.

— Dali dęba do nas...

Zaciekawienie wojskowe bierze górę nad wszelkimi innymi względami. Zaczyna się ożywiona indagacja. „Jeńcy“ mówią szczerze, jasno, wszystko co wiedzą. Odrazu nabieramy do nich zaufania. O czym nie wiedzą, nie zmyślają. Np. o artylerii odcinka mówią tylko tyle, że jest „rosyjska“ i obsługa z „Rosyi“. Tak powszechnie w sotni nazywa się braci Ukraińców z pod znaku atamana Petlury.

Wreszcie dochodzimy do spraw osobistych.

— Jak Polacy mogli się znaleźć w wojsku ukraińskim?

— Przychodzą żandarmi hajdamaccy i gadają czy ty chodzisz do cerkwi czy do kościoła, jak ty mieszkasz na tej ziemi, musisz bronić jej przed panami, którzy chcą wprowadzić pańszczyznę.

— Wierzyliście?

— Im nikt nie wierzy.

— Biorą, kogo się da. 27. lutego w naszej stronie był morderunek na żydów...

— Byli przedtem żydzi w wojsku ukraińskim?

— Oj, czy jeden? Kancelarye aż pełne od żydów. Polacy tam są w komendach, to mówi się albo po niemiecku albo po polsku... A już lekarze, sami Żydzi. Niedawno jeden umarł, strzelało mu wojsko na okopisku...

Chłopka naszego widocznie bardzo zdumiała salwa honorowa na kirkucie.

Pytamy o Polaków w cywilu. Powtarzają znane rzeczy o administratorach dóbr, o barbarzyńskim prześladowaniu księży.

— Jak wam, Polakom, było w sotni?

— Nikt z nas słówkiem po polsku się nie odezwał. Ładnieby się miał! Biedny byłby los jego...

— A jeńców Polaków jak traktują?

— Raz jedyny widziałem dwu Polaków złapanych, odebrali im broń, nie więcej. Przy szpitalu w P. ma być legionistka polska.

Sierżant K., ojciec rodziny dopytuje się o stosunki aprowizacyjne. Padają narzekania, że cukru całkiem niema, a za tytoń trzeba płacić horendalne sumy. Naszym łazikom aż oczy świeciły, gdy słuchali, ile płaci się, a właściwie przepłaca za „cienkie“.

Wracają pytania wojskowe.

— Długo byliście po zaasenterowaniu w kadrze?

— Trzy dni, dwa razy byłem na egzekucje.

Potem jechaliśmy, jechaliśmy. Co dwie stacje naprzód, to trzy w tył. Niech ręka Boska zachowa od ukraińskich kolei.

— Czem palą — ktoś wtrąca:

— Polanami... Porządku ni za grajcar...

Ktoś rzuca uwagę, że się rozchwiewa to wszystko.

— O to wszyscy Polacy modlą się. Ale gdzie tam...

Tu jeniec nasz machnął ręką z pewnym gestem „kismetu“, wrodzonego każdemu ze wschodnich połaci.

— Wszystko słucha i idzie. Bić się będzie póki pole nie zazielenieje... A jak niektóre chłopcy rwą się do wojska! Wczoraj w „befelu“ czytali, że źle słuchać ludzi, co chcą, żeby prostych chłopów poro-

bić oficerami, a starych oficerów przepędzać. Chłopotom się zachciewa oficerstwa. „Befel“ mówił, że gdy się zaczniemy bić między sobą, znaczy hajdamacy, przyjdzie Polak i weźmie wszystkich „pod jarzmo“...

Uderzyła mnie niemieczyni, która na każdym kroku wchodziła w język naszych znajomych, więcej niż u naszych starych szarż austriackich. Po najskrupulatniejszym wypytywaniu przekonałem się, że o terminologię wojskową Ukraińcy się nie postarali.

Potem jeszcze padały te i tamte pytania.

Podporucznik B. pyta.

— Pocóżście tu przyszli?

— Do wojska naszego!

*Maryusz Nowina.*

A. W.

## Koleje podczas wojny.

Cesarz Francuzów Napoleon zawdzięczał nadzwyczajne wyniki strategiczne w wielkiej mierze szybkości, z jaką przerzucał wojska swoje z jednego miejsca na drugie, a jakiej nikt przed nim nie osiągnął. Gdy mu przedstawiano, że żołnierz zmęczony forsownym marszem znacznie gorzej się bije, powiedział, że wojsko jego zwycięża właśnie tymi forsownymi marszami, gdyż dzięki im może uderzać tam, gdzie się tego uderzenia najmniej spodziewają i gdzie skutek tego jest najsłabszy opór.

Choć od czasu wojen Napoleońskich minęło 100 lat, choć zmieniły się warunki prowadzenia wojny, zwiększyły przestrzenie, jakie wojska mają przebywać, choć tam, gdzie wówczas walczyły dziesiątki tysięcy, dziś stoją na przeciw siebie miliony — zasada została ta sama: możliwość szybkiego przemieszczania mas wojska decyduje nieraz o przebiegu bitwy, o wyniku natarcia lub obrony, tylko że miejsce marszów pieszych zajęły transporty kolejami i automobilami.

Zasadę tę doskonale zrozumieli Niemcy, którzy podczas ostatniej wojny przerzucali w miarę potrzeby olbrzymie masy wojska z jednego frontu na drugi, posługując się kolejami, jeszcze przed wojną znakomicie wyposażonymi, a które podczas wojny udoskonalali, dostosowując je bardzo racjonalnie do potrzeb chwili i armii.

I tak mając przewieźć wielkie ilości wojska z frontu francuskiego na rosyjski, a mając do rozporządzenia linię kolejową dwutorową, puszczali jeden pociąg za drugim w odstępach 5—10 minutowych po obu torach, zastanawiając tem samem zupełnie na czas tego transportu ruch kolejowy w przeciwnym kierunku. Całkiem naturalne, że pociągi te poruszały się — zależnie od miejscowych warunków — z szybkością pociągów pośpiesznych, a przynajmniej osobowych. Tych samych zasad trzymały się



inne państwa wojujące, przedewszystkiem zaś Anglia i Francya.

Inaczej rzecz się miała w Austrii. Tam był od wielu lat przygotowany program dostosowania kolei do potrzeb wojska na wypadek wojny, program sporządzony na podstawie doświadczeń wojny francusko-pruskiej, program, którego od chwili sporządzenia, a więc od kilkudziesięciu lat nie zmieniono i nie dostosowano do potrzeb chwili.

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech tego programu było to, że z chwilą ogłoszenia mobilizacji, wchodził w życie na kolejach wojenny rozkład jazdy, podług którego wszystkie pociągi, a więc osobowe, ciężarowe i wojskowe, mogły się poruszać tylko z szybkością 18 kilometrów na godzinę, t. zn. wolniej niż zwykły pociąg ciężarowy, robiący w normalnych czasach 30—40 kilometrów na godzinę. Postoje na stacjach były bardzo długie i dochodziły do jednej godziny. Rezultatem tego było, że n. p. na przebycie przestrzeni Lwów—Stanisławów, którą pośpieszny pociąg przebywał w trzech godzinach, zużywał pociąg wojskowy 15 godzin.

Dalsze przepisy tego programu oddawały częściowo zarząd kolei pod wpływ wojskowości, tworząc cały szereg władz kolejowo-wojskowych, jak centralne kierownictwo transportów we Wiedniu, polowe kierownictwa transportów w siedzibie każdej dyrekcyj kolei, cały szereg komend linii kolejowych, komendy i podkomendy nadzoru transportów, komendy dworców kolejowych itd. Dużo z tych komendantów nie wiedziało z początku, co mają robić, tak że mając przydzielonego jednego oficera i jednego ordynansa, z nudów wyszukiwali sobie zajęcia, mieszając się do nieswoich rzeczy. Po pewnym czasie wzrastał sztucznie powiększany zakres działania, a zwłaszcza wzrastała liczba podkomendnych, tak że tam gdzie początkowo jeden oficer nie miał co robić, później siedziało ich kilkunastu.

Z czasem wpływ wojskowych czynników wzrastał, władze kolejowe, względnie ich naczelnicy stawali się coraz ustepliwszą, a władza na kolejach przeszła prawem kaduka w znacznej części w ręce wojskowości. Do stanu tego przyczynił się nieograniczony wpływ wojskowości na stosunki personalne, gdyż nieraz podrzędny oficer potrafił postarać się o usunięcie niedogodnego mu wyższego urzędnika kolejowego.

Ponieważ na miejsce usuniętego przychodził z reguły Niemiec albo Czech ze znacznie podwyższonymi poborami, oddawał się w zupełności na usługi wojskowych, spełniając nawet najgłupsze ich życzenia i zarządzenia, aby w ten sposób zapewnić sobie jak najdłużej te pod-

wyższone pobory, a przy nadarzającej się sposobności wyprosić order, czy odznaczenie.

Charakterystyką stosunków niech będą następujące wypadki: Komendant pewnego transportu wojskowego jadąc z Krakowa w kierunku Lwowa, zapytał podczas dłuższego postoju na jednej ze stacji, dlaczego pociąg nie jedzie dalej. Maszynista dał mu wyjaśnienie, że musi nabrać wody i węgla, co będzie trwało około 20 minut. Komendant oburzony tak długim zatrzymaniem, rozkazał natychmiast jechać. I nie pomogło tłumaczenie maszynisty, ani urzędnika ruchu, że przecież maszyna nie może jechać bez węgla i bez wody, gdyż komendant zagroziwszy maszyniście rewolwerem, rozkazał natychmiast ruszać. Przestraszony maszynista w pozornym wykonaniu rozkazu wszedł na maszynę, lecz po to tylko, aby unikając skutków niepo czytelnosci komendanta, zleźć drugą stronę i uciec w las. Naturalnie, że ponieważ nie było na miejscu innej maszyny ani maszynisty, musiano telegraficznie sprowadzić maszynę, co zamiast 20 minut, trwało 3 godziny.

Drugi przykład zdarzył się podczas przyjazdu ex-cesarza Karola do Galicyi. Gdy cesarz wszedł do pociągu, komendant linii kolejowej zarządził odjazd, pomimo tego, że do naznaczonej chwili odjazdu brakowało jeszcze 15 minut. Na przedstawienie maszynisty, że bez rozkazu urzędnika ruchu nie wolno mu ruszyć z miejsca, że na przestrzeni może być inny pociąg, o którym on nie wie, i że przedewszystkiem trzeba zapytać sąsiedniej stacji, czy przestrzeń jest wolna, — pan komendant rozkaz w energicznej formie powtórzył, grożąc maszyniście karą i dodając, że tam gdzie on rozkazuje, tam ani urzędnik, ani nikt inny nie ma nic do gadania.

Dobrym przykładem rozpanoszenia się na kolejach podrzędnych oficerów, był pewien komendant dworca, z zawodu adwokat, który zwrócił uwagę naczelnika stacji, jakoby przesuwanie wozów odbywało się w niewłaściwy sposób. Na uwagę naczelnika stacji, że to zupełnie nie wchodzi w kompetencję komendanta dworca, odpowiedział tenże: Przecież jeżeli jestem komendantem dworca, to mogę tym dworcem i wszystkimi ludźmi tutaj zajętemi komenderować.

Przykłady te wzięte z życia, dowodzą do jakich niedorzeczności mógł doprowadzić fałszywy system, stosowany nieracjonalnie, bez należytego zrozumienia, a przedewszystkiem bezmyślnie.

Nie ulega wątpliwości, że koleje, których głównem zadaniem w normalnych czasach jest zasilanie Skarbu Państwa, oraz czynienie zadość potrzebom handlu i przemysłu — muszą



w czasie wojny w pierwszym rzędzie stać na usługach wojska i zastosować się do jego potrzeb i wymagań, tak jak to muszą czynić wszystkie galezie życia społecznego. To jest tylko wtedy możliwe, gdy zarząd kolejowy już w czasie pokoju będzie znał te potrzeby i wymagania, aby w chwili organizowania i budowy pojedynczych działów służby, urządzeń i zakładów, mógł uwzględnić dostosowanie się do tych potrzeb.

Z drugiej strony wymagania wojskowości, stawiane zarządowi kolejowemu, muszą się liczyć z istniejącą organizacją kolei. W razie bowiem, gdy powodują gwałtowne zmiany w niej, muszą spowodować chaos, który długo będzie się mścił tak na kolejach, jak i na wojskowości. Dalej żądania te muszą być stawiane przez ludzi rozumnych, obeznanych z kolejnictwem — bo choć kolej nieraz może się przyczynić do osiągnięcia pomyślnych wyników wojskowych, to wyniki te muszą stać w pewnym stosunku do nakładu pracy i wydatków kolei. Jeżeli bowiem mały sukces wojskowy pociąga za sobą nieproporcjonalne wydatki, lub straty w kolejnictwie, to państwo ponosi większą szkodę osiągając ten sukces, niż rezygnując z niego. Przecie tak wojsko, jak kolej — służy temu samemu państwu.

Jak z powyższych wywodów widać — konieczną jest ciągła łączność zarządu kolejowego z wojskowością i wzajemne obeznanie się z wymogami i organizacją obu stron.

I to powinny mieć na oku miarodajne czynniki obecnie w chwili organizowania Państwa polskiego, aby tworząc, korzystały z doświadczeń wojny światowej — i stworzyły organizację jeżeli nie doskonałą, to przynajmniej zbliżoną do doskonałości.

Łączność władz kolejowych z wojskowymi da się osiągnąć w kilka sposobów, z których każdy prowadzi do celu, jednak różnymi drogami.

Najradykałniejszym z nich byłoby zmilitaryzowanie kolei; wyraz ten jest dostatecznie znany, gdyż był za czasów austriackich na ustach wszystkich kolejarzy. Wówczas znaczyło to wprowadzenie dyscypliny wojskowej, aby postrachem sądów wojennych zabezpieczyć się przed porzuceniem pracy przez funkcjonariuszy kolejowych. Ci bowiem — nie mogąc wyżyć z bardzo skromnych poborów, starali się wykorzystać ogólny brak sił roboczych i szukać lepszych znacznie warunków w służbie prywatnej.

Jako przykład ówczesnych stosunków, niech posłuży fakt, że ślusarz, a więc robotnik fachowy, służąc 6—8 lat przy kolei, pobierał raz z dodatkami droższymi 6 K. dzien-

nie, zaś nowo przyjętych ślusarzy płacono po 25—30 K. dziennie.

Militaryzacja miała dalej zapobiedz strejkom, powodowanym brakiem żywności.

Otóż nie taką militaryzację mamy na myśli. Rozumiemy ją tak, że cała służba kolejowa składa się z żołnierzy odpowiednio ukwalifikowanych i odpowiednio płaconych. Można by stworzyć rodzaj pułków kolejowych, których pewna ilość pokrywałaby zapotrzebowanie kolejnictwa. Organizacja tych pułków musiałaby umożliwiać aktywowanie się jak największej liczby nie tylko oficerów, lecz i szeregowców, a warunki płacy i awansu i możność przejścia w stan spoczynku, musiałby być zastosowane do ogólnie panujących stosunków, bo tylko w ten sposób mogłaby zapewnić sobie odpowiednią ilość stałych pracowników — żołnierzy. Wszyscy ci zaś, którzy po odbyciu obowiązkowej służby kolejowej w tych pułkach wróciliby do domów, stanowiliby dostateczną rezerwę na pokrycie chwilowych braków, lub silniejszego zapotrzebowania.

W pułkach tych musiano by przestrzegać zasady używania ludzi odpowiednio do ich kwalifikacji, aby nie było tego, co często zdarzało się w austriackich pułkach, że inżynier-mechanik budował mosty, a geometra telefony.

W systemie tym tkwi jedno wielkie niebezpieczeństwo dla państwa, mianowicie, aby wojskowość mając koleje pod swoim zarządem, nie zapomniała, że one przedewszystkiem mają służyć cywilnej ludności, i celom handlowym, że trzeba je więc traktować ze stanowiska kupieckiego, a tylko na wypadek wojny mają przejść na usługi wojska, nie tracąc jednak z oczu potrzeb cywilnej ludności.

Drugim sposobem, byłoby wprowadzenie t. zw. łączników. Oficerowie znakomicie obeznani ze wszystkimi gatunkami broni i znający dokładnie potrzeby wojskowości, byłiby przydzieleni do władz kolejowych, aby się obeznać ze wszystkimi galeziami służby kolejowej. Takich łączników musiałoby być kilku czy kilkunastu na pewien okręg, gdyż dla jednego człowieka byłoby za trudno poznać w szczegółach służbę kolejową w jej wszystkich galeziach.

Na odwrót zarząd kolejowy miałby znów przy władzach wojskowych swoich łączników, a ludzie ci również musieliby być bardzo starannie dobrani, gdyż oprócz gruntownej znajomości służby kolejowej, musieliby posiadać kwalifikację, umożliwiającą im szybkie i dokładne zapoznanie się z organizacją i potrzebami wojskowości.

Służba kolejowa jest z wyjątkiem działów komercyjnych służbą czysto techniczną, więc



z małymi wyjątkami tylko technik mógłby w krótkim stosunkowo czasie posiadać i przyswoić sobie wiadomości, potrzebne łącznikowi. Warunek ten, zwłaszcza dla łączników, stawianych ze strony wojskowości przy zarządach kolejowych jest koniecznym i musiałby być ściśle przestrzegany.

Łącznika musiałaby kwalifikować władza, do której ten został przydzielony, gdyż tylko ona potrafi osądzić, czy posiadał on dostatecznie wiadomości z dziedziny obcej sobie służby.

System ten uchroniłby państwo od wielu błędów, jakie n. p. Austria popełniała przez cały czas wojny i zapobiegłby w znacznej mierze olbrzymim stratom materialnym, jakie pociągało za sobą wykonywanie żądań wojskowości, stawianych zarządowi kolejowemu przez ludzi niefachowych i nie mających pojęcia o kolejnictwie.

Por. MIECZYSLAW ST. KOŁODZIEJ.

## Stan akademicki na wojnie.

Wojna światowa, trwająca wzwyż cztery lata, a choć w zmienionych formach dobiegająca roku piątego swą łapą drapieżną i niszczycielską zgłębiła i zdusiła, szarpie i rozluźnia obecnie jeszcze wszystko, co ongiś miano życia posiadało. Zupełne przytępienie sumienia, brak woli zrozumienia się wzajemnego, zatracenie wszelkiego poczucia czystego a prawdziwego piękna i ideału, ślepotą moralną, niemoc fizyczna, deprawacja tegiego i zdrowego ducha oto straszliwe skutki, oto owoc trujący i gubiący narzuconej mordęgi wojennej przez tych, którzy na gruzach cudzego mienia, cudzej kultury i cudzego życia rósł przywykli. Potęgą krzyżacko-pruska rozprysła się, jak owa legendarna kula złożona ze szkła, która ześlizgnęła się z ręki zdziwionego dzieciaka na ziemię. Zjawia w rzeczywistość się przeobraża, przeboleła i z trudem wyłaniająca się prawda ciążąca się staje: ona jedyna swą aureolą świetlaną, dumną i pewną — całą istotę człowieka do siebie przykuwa i wierzyć każe, że ponad brutalną i niszczycielską siłą jasne i trzeźwe, zdrowe i dlatego tylko patężne prawo panowało, panuje i panować będzie. Prawo nad siłą zwyciężyło, zwycięża i zwycięży! Do tej prawdy wielkiej, do tego prawa z pośród zgłiszcz i zmęczenia, z pośród nieszczęść i rozpaczki wyteżają się wszystkie mózgi i serca pragnąc ją uchwycić by nigdy, już nigdy nie opuścić jej. Do tej prawdy, do tego prawa woła żołnierz — akademik, ów największy ofiarńik wojenny.

Był tym ofiarnikiem i jest nim dotychczas każdy ten żołnierz akademik, który w pamiętnym roku 1914. wyszedł na wojnę jako akademik i jest nim dziś jeszcze, bo dziś jeszcze jako żołnierz walczy. Odrzucam od siebie myśl od tych zleniwiałych i zobojętniałych typów akademickich, który jak dawniej tak też i dziś przedstawia bardzo względną i ograniczoną wartość dla całości pracy narodowej. Dawniej korso, kawiarnia, zakątki parków a nawet cmentarzysk życie mu dawały, dziś wszystko to samo — tylko on sam w mniej lub więcej świeżym

mundur odziany. To kategoria tych ludzi, których się pomija, nie mówiąc ani słowa o nich, bo albo przykładem sami się zmieniają, albo po pewnym czasie znajdują się u zasłużonego sobie kresu.

Mówić pragnę o tych, którzy oddając się przed wojną pracy rzetelnej i głębokiej, wysilając swe zdolności i energię w każdym kierunku i na każdy wypadek, stanęli wobec wojny jako ludzie dojrzały, o szczerym zapale i prawdziwych zamiarach a którzy przeszli czasy wojenne nieskazitelnie, tracąc wszystko co najdroższe dla akademika, bo zdrowie, energię, środowisko swojskie, kierunek i możliwość pracy fachowej, a co najważniejsze niepowrotnie zgubionych lat tyle w życiu swoim i to bez cienia winy ze swojej strony. A czy szczęśliwymi nazwać można tych niezliczonych, których tak bardzo przedwcześnie ziemia, krwią przepojona, w proch już zmieniała a tyłu, tyłu jeszcze obecnie na zawsze pochłania? Lała i leje się obficie krew żołnierza — akademika.

A teraz cofnijmy się pamięcią wstecz do owych pierwszych dni wojny i przejdźmy wszystkie jej lata aż do dziś, by dokładnie, szczerze a otwarcie stworzyć sobie obraz i przebieg życia i długo a krwawo składanej ofiary przez stan akademicki.

Gdy prawie pięć lat temu surma bojowa zagrzmiła i w niedługim czasie echem swem dotarła do najdalszych zakątków świata niemal całego, nastąpił nagły przewrót pojęć, przekonań i pracy w stanie akademickim. U nas w Polsce idealnej, przegrodzonej potrójnym kordonem działa się może trochę inaczej aniżeli w państwach faktycznych, realnie nakreślonych, na ówczesnej mapie świata. Mimo różnice przekonań politycznych, mimo niezdecydowaną postawę przewodników politycznych, akademik przybrał mundur, by w najrozmaitszy sposób i rozmaitemi drogami osiągnąć cel jedyny: zdobycie niepodległości Ojczyzny orężem, gdyż przedtem aż nazbyt wiele mówiono o tem i tylko mówiono. I rozpoczęła się owa długa i mozolna wędrówka, do obecnej jeszcze chwilił rwająca. Wędrówka ta różne przybierała formy i drogi. Jedni zaciągnęli się do Legionów, inni zmuszeni byli pod obcymi sztandarami przejść krucyatę wojenną. I ów student uniwersytetu czy politechniki, czy też innych wyższych szkół, ów mól pracowity, który niedawno jeszcze z książkami i skryptami w rękę znaczył wschody i podłogi uczelni rozmaitych, przybrał mierną z początku broń i jaskrawy a dłuższy i szerszy od siebie mundur i poszedł w świat daleki. Inni szczęśliwsi i więcej protekcji za sobą mający, pozostali na miejscu lub w ucieczce przed postępującymi wojskami obcymi, zasilili sobą obce miasta jako uciekinierzy. Wszyscy razem zmuszeni zapomnieć o nauce, zrezygnowali z niej. Ale skoro wojna zaczęła przedłużać się, nastąpiło gwałtowne otrzeźwienie. Wiedzieli już wszyscy że dzieje się źle, bo miesiące gonią w niepamięć, a sposobności ku nauce nie było żadnej. Od tego czasu to jest zaraz z początkiem 1915. roku daje się zauważyć podział stanu akademickiego na kategorie. Ci, którzy odeszli jako wojskowi, zgubili się bez nadziei żadnej zespolenia się w jakimkolwiek kierunku, bo ciężkie przechodzili oni chwile a zresztą przecudowną swą pleśnią rygor wojskowy wykluczał wszelką myśl szlachetniejszą, wszelką pomoc w różniącym się od wojskowego kierunku. Inni, którzy szczęście mieli pozostać w cywilnym stanie, skupili się czy to w ojczyźnie podczas inwazyi, czy też na obczyźnie, mając za sobą pomoc moralną i materialną. Ci ostatni wiedząc już, czem przy-



szość grozi, mieli się na baczności, uchylali się od wojska, zapełniali liczne potrzebne i niepotrzebne urzędy, jako reklamowani i przetrwali cały czas wojny z pomyślnym dla siebie skutkiem. Inni wciąż krew lejąc, prześladowani tak bardzo często skutkiem swej narodowości, tracili życie, zdrowie i wszystko, co ze sobą uwieźli. Różnica uwydatnia się znaczną!

Bo dlaczegoż dziś po prawie pięciu latach wojny ów prawdziwy żołnierz — akademik widzi tak wielu dawnych kolegów swoich jako ukończonych absolwentów a bardzo bardzo wielu już z doktoratem? Bo jeden bez protekcji i bez jakiegokolwiek opieki ze strony społeczeństwa naszego walał się po rowach strzeleckich, tułał się po szpitalach, zaś drugi oparłszy się na kimś, szedł mniej lub więcej śmiało naprzód. I czyż nie bolało lub nie boli to wszystko tak wielu szlachetnych, dziś już podwójnie „żelaznych” akademików? Wina tego wszystkiego leżała po stronie samych organizacji akademickich a w przeważnej mierze po stronie starszych, którzy skaleczeni i milczący, z nieprzyzwoitych obaw, zatracili z pamięci tych bohaterów, na których państwo i naród zawsze liczyć muszą. Pominąwszy rok 1915, w którym tak zwani sprytniejsi wysuwali się z frontów wstecz i grzęźli gdzieś, gdzie przecież można było uczyć się, zbliżam się do roku 1916. Przy końcu tego roku prócz najrozmaitszych urlopów w byłej armii austr.-węgierskiej, zaczęły wyłaniać się na światło dzienne zupełnie nowe, które dawniej niemożliwe były. Co za ironia! Wszak zaczęto zwracać uwagę na akademików. Wtedy dopiero niestety tak późno zorientowano się, że dzieje się źle. Nie wspominać o wszystkich kategoriach urlopów ówczesnych, bo te były dziwnie kombinowane i wymagały znowu zbyt wiele protekcji lub pieniędzy, ale wspomnę o najciekawszym, który zaczęto użytkowywać najbardziej od początku roku 1917. W jednym z rozporządzeń ówczesnego austr. minist. wojny było powiedziane, że ci, którzy są zajęci w kadrach w miarę możliwości ze względu na służbę mogą uzyskać 4-ty a nawet więcej-tygodniowy urlop dla celów naukowych. To dało impuls do przewrotu. Ci, którzy za długo bywali w polu, starali się przejść do kader, inni znowu ustąpić nie chcieli. Wszyscy mieli rację, bo całą siłą odżyła myśl i chęć do pracy naukowej, by w niepewności nie zatracić się na całe życie. Krótko mówiąc zaczęły się urlopy, które zawsze były możliwe a tak potrzebne dla wielu. A czyż istniała wtedy jakakolwiek organizacja akademicka, choćby ze starszych, a tych szczęśliwszych złożona, któraby przyjąć potrafiła swych dawnych kolegów, skołatanych długą już długą wtedy wojną, w otwarte a szczerze ramiona, by służyć dobrą i praktyczną radą? A czemu ze starszych przewodników młodzieży akademickiej nie znalazł się nikt, by poprowadzić na czystą i piękną drogę tego żołnierza-akademika, by na dni przynajmniej parę przypomnieć mu, że obowiązki czekać go będą w przyszłości. Jeżdżono na urlopy, tracono do reszty pieniądze i zdrowie, bo nikt nie potrafił zaopiekować się serdecznie i szczerze tymi, którzy tej opieki najbardziej potrzebowali. A rok 1918? Wtedy już zaistniały oficjalne urlopy, celem kontynuowania studyów. I znowu brak organizacji i brak opieki ze strony starszych gubiły tych ludzi.

Ze smutkiem wspomnieć muszę o innych narodach, i innych miastach. We Wiedniu po przybyciu urlopników z pierwszego turnusu zaroilo się.

Wszystkie organizacje akademickie odżyły. Dzieniki witały z zapalem młodzieńców swoich, wojskowych akademików. Urządzano zgromadzenia i zebrania naukowe, informowano się nawzajem, radzono sobie i cieszą się z dobrego wyniku tych kilkunastotygodniowych przypominań sobie nauki, już prawie w gruzach zarzuconej. Odżyła młodzież akademicka, odżył dawny duch, dawna praca. Profesorowie cieszyli się wraz z dawnymi swoimi słuchaczami. Aż serce się ścisnęło na myśl, czemu gdzieindziej jest inaczej, aniżeli u nas. To samo było i w Budapeszcie. W obu miastach byłem naocznym świadkiem tego, bo sam przez nie na podobny urlop do Lwowa jechałem. Inaczej było u nas. Bo naprawdę zaginął może nie bezpowrotnie dawny zapalony, rzeźki, energiczny akademik. Ow żołnierz nie mógł odnaleźć swojego życia, bo go już nie było, bo nikt go już nie pielęgnował. — I u nas zaroilo się od tych studentów-urlopników. Uniwersytet i technika były wprawdzie pełne, boć to o kombinacje najrozmaitsze tylko chodziło. Ale z jakim wynikiem wracano na swe dawne stanowisko wojskowe o tem nie chcę już mówić. Wiem tylko, że wielu z nas zmuszonych było na wieś uciekać, by nie dać się porwać pokusom, znieważającym do nauki. I zrobiliśmy swoje. Nie potrafił tego ofiarnika, żołnierza-akademika przytulić nikt, poszedł on dalej w świat z czemś lub z niczem. Czasy jednak zaczęły się gwałtownie zmieniać. Koniec października i początek listopada 1918. roku przyniosły wiele nowych rzeczy. Zawrzał nowy bój w wolnej Polsce o jej święte granice. Stanęli do niej niestety nie wszyscy. Na czoło wybijają się ci właśnie, którzy długo, długo sterani trudem wojennym, spieszyli z różnych frontów do ojcowizny swojej, by zaznać w niej tak bardzo upragnionego spokoju. I ci na odgłos nowej trąbki z jedną myślą, bez nakłaniania z czyjejkolwiek strony oddali do usług Ojczyźnie ostatki swego zdrowia i energii, by czynem zaświadczyć, że akademik był i jest najlepszym żołnierzem.

Zamknęły się po kolei odzwierza wszystkich uniwersytetów i innych uczelni wyższych. I tu w budującej się Ojczyźnie znowu niema żadnej organizacji akademickiej. Wszelka myśl i duch akademicki gubią się do reszty! I czemuż oficer czy nie oficer-akademik nie może znaleźć w wolnych od zajęć fachowo wojskowych chwilach środowiska, w którym mógłby miłe i przykładowie spędzić czas wolny? Cemu mózgi! przewróciły się, że tylu tylu z nas zatracą się w niepożądany sposób może na zawsze. Czyż tylko kawiarnia, widowiska publiczne i zaściankowe giniecie ma być celem naszym? Czyż ma zginąć w nas już zupełnie poczucie szlachetności i trzeźwości akademickiej? Czyż ma nas niepokoić ów wstrętny, pokątny protekcyjnalizm, ukrywający tak bardzo wielu znanych nam kolegów po biurach tu lub gdzieindziej?

Wstaje naród, wstaje Polska, wstaje rząd i Sejm. Powołano nas, by kończyć dzieło przez przodków wielkich rozpoczęte. Garniemy się ze wszystkim, co posiadamy jeszcze do tego wielkiego wspólnego dzieła. Walczymy i walczyć będziemy bez wytchnienia i naprawdę do ostatniej kropli krwi akademickiej. Ale biada wam młodszy i starsi koledzy, wstrętni tchórzy i wyyskiwacze chwili. Znamy nam są wasze kryjówki. Jeśli posiadacie choć trochę jeszcze tej dumnej a wielkiej ambicji młodzieńczej to do niej apelujemy. Wyście przeżyli wojnę wśród protekcji i wiecznego spoglądania wstecz, by mieć ko-



gość za sobą. Minęły czasy, brońące was zasłoną, że dobrze czynicie, bo nie bijecie się za swoją sprawę. Dziś sprawa nasza was woła. Chodźcie do nas, my was przygarniemy mocno a serdecznie i nauczymy wnet, jak się bronić za Ojczyznę władą. Rzućcie pióra, rzućcie papier, wyprostujcie swoje plecy i dalejże do nas.

A was starsi o uczciwość prosimy. Obudźcie się też i na chwilę tylko przypomnijcie sobie, że piąty rok walczymy, piąty rok dajemy szczerą i szlachetną ofiarę z siebie, która wzrasta dzisiaj w miarę potrzeb Ojczyzny naszej.

Pamiętajcie o tem i na przyszłość, że dziś życie i pracę dajemy a o nagrodę poprosimy później, gdy Ojczyzna stanie pewnie i trwale. Bo trzeba chcieć prawdzie w oczy spojrzeć. Pięć lat zupełnie straconych mamy za sobą, już piąty rok ucząć się nie możemy i wiemy dobrze, jakie skutki czekać nas mogą. Państwo i społeczeństwo muszą się zaopiekować nami, bo nauki nie wyrzekniemy się nigdy. Pierwszeństwo należeć się nam będzie przed tymi tchórzami, pierwszeństwo przed tymi, którzy do dziś jeszcze spoczywają. Zanieście głos nasz hęć daleko do Sejmu, niech tam już teraz o nas myśleć zaczyna. Oto was prosimy. Spełnijcie swoje — my dokończym nasze napewno!

## Gwara żołnierska.

Każdy zawód, każda klasa społeczna, każda okolica wytwarza w języku odrębny odcień, zabarwia go swem piętnem indywidualnem. Odrębności językowe mogą być albo natury słowniczej, więc odrębności leksykalne albo polegać na specyficznych zwrotach a czasem intonacyi, nie uchwytniej dla druku. Co do leksykalnych specyficznych, nikomu chyba nie jest niewiadomem, że co fach, to język. Szeregi wyrazów np. inżynierskich, lekarskich, czy bartniczych, leśniczych choć są czysto i rdzennie polskie, są dla szerszego ogółu niezrozumiałe. — W zwrotach jeszcze wyraźniej uwypuklają się odrębności. Kto n. p. coram publiczności mówi „odczep się do cholery“, ten zapewne nie figuruje w almanachu gotajskim, kto zaś mówi „nie spotykaliśmy Nowego Roku hucznie a siedzieliśmy w domu“, ten widocznie wychował się na terytorium oddziaływania rosyjszczyzny. Tak język wyjawia klasę społeczną i okolice mówiącego. Nie podobna zatem nie rozróżniać narzeczy lokalnych i warstwowych, jest to jakby pionowy i poziomy podział języka narodowego, czasem przykry nawet, bo w Polsce bardzo rażą „prowinicyonalizmy“ i „prostacki“ sposób wysławiania się.

Coś nieco odrębnego są gwary fachowe. Powstają w zbiorowościach, skazanych na silne spółżycie wzajemne, odciętych od ośrodka, w zbiorowościach, częstokroć klasowo i terytoryalnie bardzo różnorodnych. Polegają nie na odrębnej terminologii ani na konstrukcyi

zwrotów tyle, co na przeinaczaniu wyrazów. Gwary fachowe nie wytwarzają odrębnych akcentów, zmian fonologicznych, lecz obok utartych terminów chrzczą jak czule matki przedmioty swej pracy imioniskami — a praca ta bezwiedna a silna jest tylko wyznacznikiem umiłowania przedmiotu. Takimi wyodrębnionymi że się tak wyrażę zakonami pracy są nasi fliśacy i górnicy, a któż nie słyszał o ich gwarze, którą delectuje się już Sebastyan Fabian Klonowicz. Podobną żargonową nomenklaturę tworzą bosiaki, holujący statki na Woldze czy Kuli, wożący herbatę do Kiachty z swem sakramentalnem „szan — go ka — pi — ta — na!“. Przedewszystkiem zaś takim zakonem jest wojsko. Element bardzo różnorodny, niejednolity ale nadzwyczaj spoisty i par excellencje wyłączny. Co armia to żargon. Każde wojsko stwarza sobie język swoisty, a skarbiec tych wyrażań przesiąka przez mury koszar, przez linie okopów, staje się znany ogółowi lub wprost przechodzi na własność ogółu bez względu czy zbrojny czy niezbrojny.

Każdy we Francyi nazywa żołnierza „argotowem“ przezwiskiem „poila“, a założyłbym się, że w Wiedniu są ludzie, którzy nie wiedzą o istnieniu „Offiziersdienera“, ale każdy rozumie, co oznacza „Pfeiffendeckel“. Żołnierz znalazł w swej gwarze jeszcze zwierciadło swej psychiki; zamiast długich okresów wystarczy zacytować, że Francuz zwie z całą dozą esprit tornister swój „caro“, gdy Prusak ochrzcił go „Affe!“. Łatwość niemieczyzny do złożań i przysłówiowa „witzmacherei“ pozwoliły na takie humorystyczne przezwisko epoletów „leutnanta“ pruskiego jak: „Sternwarte!“. (Podporucznik dostaje gwiazdkę dopiero z awansem na „Oberleutnanta“). Na czem polega tworzenie wyrazów gwarowych? Różne procesy są tu czynne. Nazwa jakaś ulega skróceniu. I tak nasze Bartki i Maćki w c. i k. armii zwali „feldwebla“ po prostu „felak“. Może być przekręceniem. „Putzer“ został przekręcony na „puclika“, „Kommandant“ ustąpił miejsca „komedyantowi“, legionowy „starszy żołnierz“ dostał wspaniałą, grozą przejmującą nazwę „straszny żołnierz“.

Szczególnie, gdy obcy wyraz, trudny, szczególnie dla nieinteligentnej jednostki do wymówienia, mógł się oprzeć o dźwiękowo podobne, znane dobrze słowo — i tak „Fähnrich“ został „Henrykiem“ czy nawet „chędrykiem“, za leży od wymowy i pisowni a legionista — „Jagiellonem“. Człowiek pierwotny jest zazwyczaj poetyczną naturą, a więc chętnie mówi porównaniami i porównaniami zastępuje zwykłe, utarte słowa. Porównaniami są nazwy „biskup“, legionska nazwa żołnierza w rogatywce, „ksiądz“ przezwisko jednorocznika, „spluwaczka“ staro-



galicyjska nazwa ładownic. „Tertium comparationis“ jest tu podobieństwo do infuły, paski na rękawie czy też kształt zgoła nieforemny.

Często nazwa taka ma doprawdy zacięcie. Z fantazją nazwano przed laty, laty, jeszcze w b. armii austriackiej „saniteta“ „lapiduchem“ — w pierwszych zaś, smutnych początkach legionów bagnety Werndla „mieczami archanielskimi“, później na chlebach wygrzebano staropolską nazwę „sumka“. Porównaniami są nazwy na części pocisku działowego — „kuferek“ i „zegarek“. Wybitnem źródłem, które zasila gwara żołnierską jest żargon — żydowski czy złodziejski u nas, podobnie jak „kauderwelsch“ u Niemców, „argot“ u Francuzów, „cockney“ u Anglików z irlandzkimi odrębnościami. (Wtrąć nawiasem: czy jest ktoś drugi, kto tak wspaniale opanował literacko gwara żołnierską jak Rudyard Kipling? Otwórz dzieło jego, a gdy ujrzysz wyraz „lift'nant“ lub „sarjint“ poznasz, że masz przed sobą jakąś bajkową „tale“ z życia „Tommies!“).

Żargonowi zawdzięczamy nazwy „świrk“ = waryat, półgłówek lub udający waryata w celu „markiracy“ (też obcy wtórł, do gwary żołnierskiej wszedłszy, pokazuje, kto uczył „markirowania“), dalej „jańcie“ = Austriacy (złodziejsko-lwowska nazwa policyanta). Tu muszę przyznać się, że nie rozumiem, skąd w I. brygadzie powstała nazwa na Austriaków „trep“... Żargonową jest też nazwa na buty saperskie („maniaty“). Obce wyrazy ulegają dziwnemu losowi: z „rucksacka“ robi się „rucak“ per analogiam „brotsacka“, gdzie „ts“ Polak wymawia jak „c“, włoski wyraz „piccoletto“ przechodzi z muzyki na trzewiki, które istotnie wobec butów łańskich i półbutów saperskich są „piccolettami“. Szereg wyrazów gwary żołnierskiej zawdzięcza swe pochodzenie dowcipowi, czasem bardzo złośliwemu („oficer z Jabłonkowa“...), I tak Korpus Posiłkowy zostaje ochrzczony „Labe Korps“ na wzór Labestationen (= stacje posiłkowe) a lekarz „weterynarzem“.

Żołnierz lubi imiona własne a więc Dowództwo Ochrony linii kolejowych nazywa, z zamarsztynowską końcówką, „Dolku“ (D. O. L. K.). Nowe instytucje, nowe zwyczaje, nie uświęcone regulaminem a tedy nie ochrzczone w drodze służbowej dostają nazwę z pominięciem tejże. Któż nie zrozumie takiej nazwy jak „obijak“, „łazik“? Mniej znana jest „sitwa“ i „sitwak“. „Sitwa“ była instytucją, rozpowszechnioną w I. Brygadzie Pilsudskiego, nakazująca związanym „sitwą“ żyć z sobą nierozdzielnie i pomagać sobie w każdej okoliczności — łączyła ludzi serdecznym węzłem jak pobratymstwo jugosłowiańskie, a silnym jak masonskie braterstwo. Łączono się w dwójki, samorzut-

nie, a „sitwaków“ nie można było rozdzielić. Kto przeniósł „sitwesa“ (i taka nazwa była u tarta) do innego oddziału musiał przenieść i jego odpowiednika. W składzie „sitwy“ uwzględniano dobór harmonijny a uzupełniający się — robotnik był „sitwakiem“ studenta, „sitwak“ poza służbą pracował by jego druhowi po oddaniu służby niczego nie brakło. Tak rodziły się nazwy nowe obok dziedziczonych starych. Np. dziedziczną była nazwa pierwszo-brygadowa „spluwa“ na broń palną. Wszak to termin bojowców w r. 1905 na browning! Pewne lokalne nazwy otrzymywały nazwy gwarowe. Przeto domowi rekonwalescentów w Kamińsku przypadła w udziale nazwa „dom waryatów“, a oddziałowi dermatologicznemu pewnego szpitala — żargonowe imię „łabaj“...

Nie wspomnę już o przezwiskach osób, niech pozostaną w kole znajomych i bawią ich, póki „wiara“ wspominać będzie te dawne, złote czasy... Czasem ktoś dostał jako imię całe zdanie (generał „Daj mu rumu!“). Gwara żołnierska kwitnie i rozwija się. Żołnierz polski tworzy dalej wyrazy nowe. Zdolność tworzenia wyrazów jest jednym z nieodzownych objawów życia. Dzisiejszy lwowski żołnierz zwie karabin „karabelą“, żołnierza oddziału kulomiotów „maszynistą“, Ukraińców „Karaimami“. W przesunięciu znaczenia tego wyrazu grało rolę podobieństwo dźwiękowe.

W niniejszej spostrzeżeń garstce nie wyczerpałem ni części bogatego repertuaru żołnierskiego słownictwa gwarowego.

Wielu wyrażen, powstałych na gruncie oddziałów, z którymi nie miałem styczności, nie mogłem zanotować.

Każdy, kto zna jakieś takie wyrażenie gwarowe, powinien je uchronić od zagłady niepamięci.

Wyrazy i zwroty gwarowe są bardzo ciekawym zjawiskiem nie tylko dla miłośnika językoznawstwa ale i bogata kopalnią spostrzeżeń dla historyka kultury wogóle, a dla badania żołnierskości naszej w szczególności. S. P.

\*\*\*\*\*

JAN RYBARSKI.

## Dokumenty z listopadowych dni grozy.

Przed dniami kilkanaście ukazały się prace, bogato ilustrowane, których temat jest wspólny, a których kilku pobieżnymi słowami szablonowej recenzji zbyć nie podobna. Prace te — to prof. Jerzego Dunina-Wasowicza, obecnie pporucznika W. P., „Listopad“ i znanego poety, Jana Gelli „Ruski miesiąc“.

Na pierwsze miejsce wybija się „Listopad“. Jest to zeszyt pamiątkowy, o czterech arkuszach in quarto; na arkuszu okładowym ma jako winietę zmniejszoną odbitkę dyplomu, nadającego Krzyż obrony



Lwowa. U dołu widnieje nieszczęsna i przeklęta pamięć data I.—2. XI. 1918.

Zajrzyjmy do wnętrza pracy. Zaczyna ją wstęp ogólny — pióra obcego — podkreślający skromne obrony Lwowa początki. Punktem, dokąd w owych dniach okropnych przeniosła się Duma i Sumienie miasta, Bohaterstwo i Myśl państwowa — była początkowo ulica Nabelaka i Grunwaldzka. Tam bowiem działał człowiek — symbol honoru i godności narodowej — Mączyński. Część dalsza rozpada się na szereg rozdziałów, z których każdy pięknym zaczyna się inicjałem. Rozdziałów tych jest ośm, a wprawdzie są bez tytułów, to jednak mimo to układ ich tak jasny, że czytelnikowi dyspozycya sama się rzuca w oczy. Rozdział pierwszy kreśli początkowe walk listopadowych trudności, tudzież wypadki pierwszych dni czterech. Właściwą pracę, w stronie t. zw. polskiej, kreśli rozdział drugi. Stwarzano tam armię, broń i amunicję z niczego — wszystko prawie było zdobyte przy nakładzie poświęcenia rzeczywiście bezprzykładnego. Część następna podaje dokładne wiadomości, kto na jakim działach odcinku, tudzież wykaz imion tych bohaterów, których wyszczególniają pochwały Naez. Komendy W. P. Dalsze kolejno części mówią o cmentarzach poległych bohaterów, o składzie różnorodnym wojska dni owych, w którym ramie przy ramieniu stali starzy, dzieci i kobiety i o odsieczy, a raczej pomocy, którą z Przemyśla przywiódł P. Pułk. Tokarzewski. Rozdział przedostatni daje precyzyjny obraz walk w pamiętnym dniu 22. listopada, a ostatni kilkanaście zaledwie obejmujący wierszy, ale jakże doniosłych treścią! Nawiązując do smętnych słów piosenki żołnierskiej o pani-wojence, za którą idą „chłopcy malowani“ — powiada autor, że żołnierz kołną swe zdziwienie wobec bolesnego widowiska, że śmiertelny taniec walczących wije się wśród olbrzymiego koła widzów licznych, którzy z założonemi patrzą rękoma na krwawe swoich braci zapasy. Te słowa ostatnie, o konieczności stworzenia licznej i karnej armii, na największe — zdaniem naszym — zasługują podkreślenie.

Co do całości, to stwierdzić należy, że autor, nie tykając zupełnie spraw polityki — sine ira et studio — na podstawie ścisłych dokumentów, rozkazów, komunikatów i innych źródeł natury przeważnie czysto wojskowej, stworzył całość jasną, przejrzystą, zrozumiałą. Podziwiać należy w pracy, jak świetnie umiał odrzucić na bok kwestye postronne, a ująć jądro rzeczy właściwe. Z dotkniętego nieraz osobiście biegiem wypadków świadka ruskich okrucieństw (małemu synkowi p. Wąsowicza odbierali Rusini drewnianą szabelkę i takąż strzelbę; rewidowali go, rewolwer do dziecinnej przytykając piersi, a kradnąc równocześnie skąpe zapasy żywności) stał się autor jakby zwięzłym tylko historykiem i to bezstronnym. Rzecz naturalna, że czytelnik myślący, umiejący czytać między wierszami, z słów nieraz niewypowiedzianych, niejedno sam sobie uzupełnić potrafi. Gdy się uwzględni bezstronność i dokładną ścisłość w przedstawieniu wypadków, staranność wydania, 18 świetnie wykonanych i planowo rozmieszczonych klisz, pyszny druk, chlubę przynoszący drukarni Ossolineum i wzorową korektę, to przyznać trzeba, że ten pierwszy głos poważny o naszych nieszczęsnych dniach niewoli, w całej pełni zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie. Nie wątpimy, że się znajdzie ów „Listopad“ w ręku każdego Polaka, zarówno żołnierza jak i nieżołnierza, zwłaszcza, iż — jak czytamy na

okładce — cały dochód przeznaczony jest na zasilenie „funduszu pomocy dla obrońców Lwowa i ich rodzin im. Czesława Mączyńskiego“. A cena księgarska tego przepięknego, w treści i formie wprost po mistrzowsku cyzelowanego zeszytu wynosi zaledwie 6 K. I tu nasuwa się jedna uwaga. Kto wie, ile dziś papier kosztuje, druk, ryciny i inna książki robocizna, zrozumie, iż przy tak niskiej cenie drobna jedynie nader na fundusz wpływać może kwota. Wyraziłby więc należało nadzieję, że księgarze nasi zrezygnują albo w całości, albo bodaj w części z swego, im zazwyczaj przyznawanego rabatu: daliby tem świadectwo swemu poczuciu obywatelskiemu, swej ofiarności, złożonej na cele tych, którzy nas z prawdziwej niewoli wybawili. Niech wspomną sobie dokładnie owe straszne dni listopadowe, a bez wątpienia obudzi się w nich poczucie głębokiej ku bohaterom naszym wdzięczności, której wyrazem będzie właśnie ów krok, mający na celu powiększenie wyżej wspomnianego funduszu.

W ustępie jednym wspomniał am p. Wąsowicz o tem, że „w słowach kilku ujął rzeczy wielkie, nie wchodząc w opisy, jak ich dokonano“. Z podanej n. p. powyżej pobieżnej tylko dyspozycji „Listopada“ zaznaczyć można, iż autor prawie że zupełnie zbył mi cieniem robotę Polaków po stroonie ukraińskiej. Jakoby mimochodem jedynie wspomina o tych, „którzy nie pozwolili rodakom tonąć w rozpacz lub apatii, lecz powiększyć ciemi byli ducha“. Wiemy dobrze, iż sam właśnie był jednym z tych nielicznych, że między nazwiskami wyszczególnionych i jego winno być wymienione... Takich i t. p. szczegółów pominięto wiele, głównie z powodu szczupłości ram. Czytamy jednak na jednym miejscu wyraźną nadzieję, że talent pisarski wyśpiewa z walk lwowskich rapsod bohaterski, że się pokusi o oddanie słowami tego czaru poezji, co unosiła się nad czynami.

O spełnienie tej nadziei, a raczej tego życzenia pokusił się znany poeta — dziennikarz, p. Jan Gella: Książka jego p. t. „Ruski miesiąc“, jest właśnie pierwszą próbą przedstawienia szczegółów. Wszelakich kunsztów literackich świadom, ujął p. Gella rzecz swoją wcale wszechstronnie, urozmaicił ją mnóstwem barwnych epizodów, iż całość czyta się jednym tohem, jak jakąś najbardziej zajmującą powieść: nieszczęsnymi niestety świadkami wypadków tej powieści byliśmy sami i sami też jako aktorowie na scenie ulic miasta przeżywalismy tragedję i bole najazdu i szal radoznego dnia nastania swobody. Podobnie jak i p. Wąsowicz, opiera autor swe dziełko na dokumentach, przytacza ówczesnych władz tak polskich jak i ukraińskich rozporządzenia i ogłoszenia, z niektórych zamieszcza odbitki. Układ przypomina nieco układ zeszytu p. Wąsowicza. Całość jednak, daleko obszerniejsza, zawiera bowiem 15 arkuszy samego druku. Osobny i nader ważny ustęp poświęcony jest genezie zamachu ukraińskiego, jako ostatniego ukąszenia czarno-żółtej żmii. Nader starannie i dokładnie notuje autor mnóstwo drobnych wprawdzie wypadków, niezmiernie jednak dla stworzenia plastycznego obrazu ważnych, nie tylko z walk, ale i z przeżyć śródmieścia. Zaznacza jednak, że mimo najlepszych chęci niejedna może w opisie jest luka, niejedno nazwisko bohatera — choćby niezmiernie nieraz dla sprawy zaśluzonego — przeoczono! Rozdział końcowy nosi tytuł „W obłożonym mieście“ jest jakby szkicem — rzecz naturalna pobieżnym tylko, gdyż nie zupełnie związanym z treścią — dotyczącym biegu spraw we Lwowie aż do połowy stycznia. Całość zdoła 62 świe-



tnie wykonanych fotografii osób, biorących udział w odzyskaniu Lwowa, zniszczonych budynków i t. p., a nadto 2 mapy oryentalne z zaznaczeniem linii stanowisk naszych i ruskich. Na okładce widzimy widzimy winietę, wykonaną przez mistrza w tej sztuce, p. W. Witwickiego, zdaniem naszym jednak nie zupełnie udaną. Książkę ujmie opaska, podająca, iż część dochodu przeznaczono na „fundusz obrońców Lwowa”. A więc i tu cel szlachetny! Część nakładu wydano w egzemplarzach broszurowanych, a części dano efektowne okładki płócienne. Kilkanaście egzemplarzy wydrukowano na papierze welinowym, lecz te nie są w ruchu księgarskim, przeznaczone dla osobistości, państwem kierujących. Dwa pierwsze z tego rodzaju egzemplarze posłano w darze brygadierowi Mączyńskiemu, tudzież majorowi Trześniowskiemu.

Znaczenie dwu tych wydawnictw, zarówno Listopada jak i Ruskiego miesiąca wprost doniosłe! To nie jakieś szkice literackie, ale krwią naszą i męczeństwem stwierdzone dokumenty historyczne. Z trwogą, współczuciem, b lem, lecz zarazem z dumą rzeczy te będzie czytał wnuk nasz kiedyś lub prawnuk i będzie się dziwił, dlaczego to autorowie obaj tego pięknego nie zamieścili epilogu, że bohaterska obrona Lwowa stała się głosem dzwonu olbrzymiego, który Ojczyznę całą do czujności bacznej nawołał i do stworzenia natychmiastowej armii, której czynów wynikiem było zupełne zgniecenie zdradzieckiego i barbarzyńskiego wroga. Niestety, tak się jeszcze nie stało. Krzepić się jednak możemy słowami za Pobudką przez pana Wąsowicza przytoczonego wiersza:

„Bo nie przepada bój nasz w zapomnieniu!  
On idzie w naród; rozdartych jednoczy  
I swary tłumy...  
Polsko! My wierzym, że przez nasze boje  
Ty w życie nowe i moc się odrodzisz!...”

## Daremny trud.

Zachciało się Ukraińcom krwi. Zapomnieli już widocznie o bezskutecznym wysiłku od strony Łyczakowa, gdzie jeden pluton 23 baterii lwowskiej wstrzymał w rozmachu atakujące siły hajdamackie i uplanowali nową rzeź na dzień 17. lutego.

Atak, przyznać trzeba, uplanowany był sprytnie. Maskowano go ze wszystkich stron, aby wdrzeć się od północy i ze wzgórz Cesarskiego lasku i Wysokiego Zamku zapanować nad miastem.

O godzinie 4-tej rano rozpoczęło się przygotowanie armatnie na południu i południowym zachodzie; ogień wzrastał, około zaś godz. 5-tej zmienił się w huraganowy i równocześnie rozpoczęła się strzelanina od wschodu. O 5:30 rozlega się na zachodzie czy południu grzechot karabinów maszynowych i ręcznych. Trzask i grzechot potęguje się przy równoczesnym zmaleniu strzałów armatnich. Godzina 6-ta, znów ogień armatni na południu wzmógł do niebywałego napięcia, tylko w naszym odcinku spokój, jak dawno nie panował na północ od Lwowa. Obserwator oznajmia, że ukraińska artyleria ostrzeliwuje zakład w Kulparkowie, nasze zaś armaty, umieszczone na południu, odpowiadają.

— Obserwować pilnie! — pada rozkaz z dywizji.

Dziwi nas nasza bezczynność, żadnego rozkazu, żadnych jeszcze poleceń, jak gdyby 25-ta bateria była

niepotrzebna, kiedy wokoło rozgorzało piekło i trzeszczą linie obronne; jednak nie długo czekaliśmy na rozkaz.

6:15 odbiera telefonista rozkaz.

— Załoga do armat!

Biegniemy jak zawsze wesoło, z humorem, zajmujemy miejsce przy armatach. Dzień cudowny, przed nami lśnią w blaskach słonecznych chaty wsi, na północ od miasta położonych, mgła ustępuje zupełnie i cisza grobowa rozległa się na błoniach naszego horyzontu.

Nagle wieść pada hłobowa: Zboiska zajęte, Ukrainacy są także w kościarni i równoczesny rozkaz otworzenia ognia na te placówki. Widzimy gromadzące się gromadki żołnierzy obok wymienionych miejsc. wahamy się, czy strzelać, nie wiedząc, czy to nie cofające się nasze posterunki. Podp. Kozakiewicz upewnia się kto są ci ludzie i otwieramy ogień.

Plują nasze dwie armatki, drugie dwie bowiem odeszły na inną placówkę, szybki ogień kierujemy w posuwające się gromady Ukraińców — ci jednak idą, spę zamy ich z drogi, ostrzeliwujemy tor, oni rozsypują się na błonia i prą naprzód bez zatrzymania się. Dwaga ich zaczyna nas dziwić, nigdy bowiem nie szli jeszcze z taką brawurą, podwajamy strzały, mierząc wprost w poruszające się oddziały, te się rozpraszają i znów zbierają jak najlepiej wyszkolona armia.

Cichutko przygotowany atak od północy, zaczyna być głośnym, artyleria z Dublan wspiera nacierających. Pada strzał jeden i pada o 100 m. na lewo od nas, za nim idzie drugi, trzecim zabawa ożywia się, atakująca piechota zbliża się mimo strat, już i strzały karabinowe brzęczą nam koło uszu, a tu pada nowy rozkaz ostrzeliwać Gafotę. Zwracamy obie armaty na nowy cel, ale to długo trwać nie może. bo na prawo od nas dotyka linia tyralierska toru kolejowego, już wdziera się na Zniesienie — jedna zatem armata praży hajdamaków około Gafoty, druga praży w Zniesienie. Gorąco robi się nieznośne tak nam jak i armatom — rozpalone lufy są do tego stopnia, że niebezpiecznie strzelać — czekamy zatem chwilę, okładamy lufy śniegiem, który topi się jak na blasze kuchennej — my tymczasem biegniemy po karabiny ręczne, gdyż będziemy trwać do ostatniego, ani Lwowa ani armat nie damy.

Tymczasem słyszymy na Zniesieniu silny ogień karabinowy; to 7-ma komp. 5-go pułku, wpada przez nasze dwie armaty pod komendą Klimkiewicza, otoczonego już przez Ukraińców, broni się wściekle. Grzechot karabinów wzmacnia się, my również nie dajemy ostygnąć armatom, ogień na nowo ze zdwojoną szybkością. 15 minut mniej więcej trwa zapamiętałe zmaganie się, kto kogo przemoże, wreszcie tyraliera hajdamacka załamuje się i poczyną cofać w nieładzie. Teraz bawimy się z nimi. Strzelamy rzadziej, ale mierzymy jak najdokładniej. Już cofają się z Gafoty, opuszczają Kościarnię, chronią się do fienclówki, ostrzeliwani bez przerwy.

Raport lepszy rozjaśnia wreszcie oblicza. Najswobodniej zaś oddecha komendant baterii Schirmer, którego dotknął los półbaterii wysłanej, jak się zdało, na stracenie. Wszyscy ocaleli, a Lwów spokojnie może spać, bo czuwa tu na północy jak lew uparty, druga bateria.

Godzina 10:30, rozjaśniło się zupełnie. niebezpieczeństwo minęło, atak hajdamacki spełzył na niczem, zapisując się nowymi ofiarami w dążeniu zabrania



tego, co nie swoje. Opuściliśmy armaty, aby wypić zimną kawę, gnało nas jednak zadowolenie, że według słów komendy brygady „ocaliliśmy Lwów“.

*Prof. Maryan Wolańczyk*  
artylerzysta W. P.

Ppor. KAZIMIERZ MACH  
ofc. insp. na rogatce Kleparowskiej.

## Strzelcy lwowscy.

Naprzód drużyno strzelecka,  
Sztandar do góry swój wznies,  
Żadna nas siła zdradziecka,  
Zniszczyć nie zdoła, — ni zgnieść!

(Hymn strzelecki.)

Pierwsza kompania 2-go pułku Strzelców lwowskich, to sami morowi chłopcy, bo i jakże mogłoby być inaczej, jeśli weźmie się pod uwagę, że właśnie owa 1-sza kompania składa się w przeważnej swej części z obywateli przedmieść Lwowa i to w dodatku z Janowskiego, Kleparowa i Zamarstynowa.

Wesoła łobuzerya młodych zapaleńców lubiących żyć szeroko była nieraz przed wojną powodem utyskiwań poważnych obywateli miasta, czemu nie należy się dziwić, element bowiem podmiejski nie lubujący się w pracy wymagającej nateżenia ducha (na szczęście w mniejszej części), szorstki w obejściu towarzyskiem i to przedewszystkiem z obywatelem innego przedmieścia, żyjący dość często w niezgodzie z niektórymi ustawami zasadniczymi, — nieraz dał się we znaki miłośnikom wyższej kultury i porządku społecznego.

Kiedy jednak przyszła w zdradziecki sposób narzucona nam wojna, a prastary polski Lwów i część drogiej Ojczyzny znalazły się niespodzianie w ciężkiem położeniu, okazało się, iż warstwa społeczeństwa, którą zawsze uważano za gorszą, bo jak mniemano nie zdającą sobie poważnie sprawy z potrzeb i zagadnień życia, którą posądzano przeto o małe wyrobienie i wprost niezdawanie sobie sprawy, co to Ojczyzna i miłość ku niej, — okazało się, iż pod tą napozór zakrzepłą skorupą, tamującą dostęp wyższemu uczuciom, bije gorące serce miłością Ojczyzny przepojone, zdolne do najwyższych poświęceń, do najwyższych ofiar, bo z krwi własnej i życia złożonych.

Pierwsza ta kompania rzeceby można powstała samorzutnie, na pierwsze bowiem hasło „Lwów i Ojczyzna w niebezpieczeństwie“, hasło falujące nad miastem odgłosem strzałów ukraińskich i poszumem złowrogim niebiesko-żółtej chorągwi na ratuszowej wieży, — tak żołnierze jak i oficerowie stanęli do szeregu, by wypełnić obowiązek wobec Ojczyzny i tych ideałów, którymi przepojoną była zawsze dusza polska.

Stanowiące z początku trzy oddzielne grupy: a) janowską, b) kleparowską, c) zamarstynowską, mimo to tworzyła już całość, znakomity bowiem organizator i dzielny żołnierz kpt. Walery Sikorski jako komendant Odcinka Podzamecze już w pamiętne dni listopadowe używał ich, jako administracyjną i taktyczną całość do jednego celu, a mianowicie wyrzucenie wroga poza mury miasta.

W czasach tych gorących, chmurnych ale górnych przejść; — jak i później kiedy nad Lwowem wznosił się biały Orzeł, a wróg w ucieczce szukał

ocalenia, wspierali swego komendanta w pracy ppor. Maller (jako adjutant), por. Tomaszewski, ppor. Kargol na Janowskim; ppor. Greffner (komendant), ppor. Niedźwiecki, Iwanicki, Mach na Kleparowie; por. Waluszyński (komendant, później śp. kpt. Starek), por. Tychowski, ppor. Pfeiffer, chor. Kotik na Zamarstynowie.

Trzy te grupy razem lub oddzielnie, lecz zawsze w kontakcie, ucierały się z wrogiem dokonując nieraz rzeczy, przypominających dawne świetne czyny rycerzy Rzeczypospolitej, — a że lwowskie dzieci żartów nie lubiały, najlepszym dowodem tego, że wróg raz tylko pokusił się olbrzymiami w stosunku do naszych siłami wedrzeć na terytoryum królestwa przedmieść, zaco zapłacił sromotną klęską i licznymi ofiarami.

Ale bo żołnierz 1 komp. 2 p. Strzelców lwow. choć nie wyćwiczony, — wielu bowiem przedtem broni nie widziało, a w dni listopadowe każdy to przyzna, na musztry czasu nie było, odrazu poznał się z karabinem, a nawet ścisłą zawarł przyjaźń z ręcznym granatem i z tej samodzielnej nauki złożył egzamin z odznaczeniem, — co najlepiej potwierdzić by mogli sami Ukraińcy.

Podziw zaiste wzbudzają czyny tych ofiarnych chłopców, co tak ochoczo szli na krwawe tany, niosąc życie w ofierze za wolność i polskość prastarego grodu z precudną pieśnią na ustach:

Hej strzeley wraz, nad nami Orzeł biały,  
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg.  
Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmią strzały,  
A lotem kul kieruje Zbawca Bóg!

Pierwsza kompania, która i dziś z tą samą dzielnością co za dni listopadowych broni granic Lwowa pod komendą por. Fr. Sikorskiego i Polakowskiego, tudzież ppor.: Pfeiffera i Kargola, powstała z wspomnianych już trzech grup po dniu 22. listopada 1918., a więc po sromotnej ucieczce „nocnych bohaterów ukraińskich“ ze Lwowa. Należy ona do 2 pułku Strzelców lwowskich, którego komendantem jest wielce zasłużony podpułkownik Hauzner. Duszą 2 p. s. lwow. jest adjutant pułkowy kpt. Piłiński.

Chcąc przekazać potomnym krótkie dzieje powstania pierwszej a dziś już sławnej kompanii z pośród serdecznych tych chłopców należy również wymienić ich podoficerów, co to nie tylko odwagą i humorem, ale i dzielną pracą dla kompanii i przykładem swego poświęcenia wielce się dla Ojczyzny zasłużyli, — to: podch. Geisler, Gorecki, Presz, j. sierż. Magierowski, sierż. Śliwiński, Srokowski, j. plut. Kaliszczak, plut. Mączka, Świdorski, Czarnecki, Titka, sekc. Winnicki, Juszyński i w. i.

Ciężkie dni, jakie w twardych przeżywamy bojach, ta krew drogocenna, co nam świętą przepoiła ziemię i te naszych bohaterów ofiary z życia wzniesione ku niebu, mimo tylu łez i boleści zahartowały nasze serca, w stał zakuły wolę i zrodziły z siebie to niezłomne postanowienie zwycięstwa, co głosem Ojczyzny woła:

Niech kto żyje, na bój biegnie!  
Któż, bo zwyciężyć nas w stanie?  
Chociaż nas mnóstwo polegnie,  
Polski Lwów, polskim zostanie!





ROMAN WOYNICZ.

## Major Lis-Kula.

Przyszedł do nas, do I-szej Brygady, we wrześniu 1914 r. Przyszedł z rzeszowską, studencką kompanią, z Herwinem razem, z Łubińskim Romanem i innymi. I teraz dołączył swe nazwisko do tamtych dwóch, bo Herwin padł jeszcze 1915 r., Łubiński w 1916 r., a Lis-Kula niedawno temu w ostatnich tygodniach 1919 r. Podaje komunikat, że padł, „biorąc na siebie po raz ostatni najbardziej odpowiedzialne i niebezpieczne zadanie”. I to jest dla niego charakterystyczne. W tem jednym zdaniu zamknąć można całą wojskową działalność majora. Zawsze brał na siebie najbardziej odpowiedzialne zadania, nie cofał się przed żadnym trudem, tak, że gdy się słyszało o jakimś czynie odwagi, czy ataku brawurowym, na pewno powiedzieć było można, że Lis-Kula tam był. I nie tylko był, ale i obecność swoją zaznaczył dobitnie. Taki już był, dawniejszy obywatel-porucznik. Leopold Lis-Kula, rzeszowskiej kompanii w VI. baonie, komendant. Czy pod Krzywopłotami, gdy atak na Załęże prowadził, czy gdy na Podhalu wojował, czy na Wołyniu, czy we wszelkich wogóle b. jach tej Brygady.

A lat miał Sp. pan major wcale niewiele. Jakże, pamiętali przecie wszyscy, jak maturę jeździł zdawać z Kielc, z podkomendnymi swoimi kilkoma razem, w pierwszym roku wojny. I wrócił po maturze na dalsze boje. Nie wiem, czy mógł się kto większą ilością bitew pochlubić. Szczęście zaś miał, ani razu nie ranny, nie chory. Może jeden kpt. Kruk-Grzybowski, też niedawno poległy, mógł z nim pod tym względem iść w zawody. Była w s. p. majorze jakaś młodzieńcza radość z życia, ochota ogromna i werwa. ochota i radość z walk, z wojny. Sam osobiście prowadził wszystkie ataki, w najniebezpieczniejsze szedł miejsca. Pamiętają i podkomendni i koledzy, wysoką, o głowę przerastającą wszystkich po tać młodzieńczego komendanta batalionu (bo VI. baon prowadził przez dwa lata blisko w I-ej brygadzie), zawsze przed pierwszymi szeregami, zawsze na przedzie.

Przetrwiał wszystkie boje I-ej brygady, na Wołyniu, pod Kukłami i Kamieniuchą pokazał co umie, pod Kostuchówką i Wołczeckiem nad Styrem i Stawkiem popisał się, że lepiej nie można, a gdy 1917 r. teoretycznie więcej pracować przyszło i kadry dla armii polskiej ćwiczyć, major Lis-Kula i tu był między pierwszymi. Batalion jego, po podzieleniu z rozkazu komendy Legionów, 7 p. p., — którym też czas jakiś dowodził — I-ej brygady, między dwa inne pułki tejże Brygady, przydzielon został do I. p. p. pod komendę pułkownika Smigłego. Major Lis w szkole oficerskiej 1. p. p. wykładał i wychowawcą był i nauczycielem teraz słowem, jak przedtem, czynem. Aż przyszedł rozłam w Legionach, ówczesny kapitan Lis wiernie dotrzymał towarzystwa broni żołnierzom swoim. Poszedł z nimi na Istrię, potem na włoski front. Ogólną tam zwracał uwagę, ten postawą już się wyróżniający, kadet-aspirant, którego pierś zdobił rząd cały odznaczeń. Medale za waleczność i signa laudis dwa, i krzyż zasługi i niemiecki żelazny krzyż II. kl. Maszerował tak pan kadet-aspirant z tornistrem na plecach szerokim gościńcem, co z Opcinje, przez Monfalcone, przez Cerwignano do Latisany prowadzi. I nad Piawą pod Cortellazzo popisał się znowu. Niedarmo przecie szturmowy kurs niemiecki odwiedzał w Baranowiczach. Szalenie zuchwały patrol poprowadził na włoskie placówki, jednaście ran wziął od ręcznego

granatu, ale jeńców zabrał i karabin maszynowy. Trudno, — trzeba się było przecie pokazać i dowieść, ch. ciążby Austryakom nawet, że żołnierz legionowy, jak chce, to wszystko może. Z tą samą odwagą, co na ów patrol, poszli też później starzy Piłsudczycy „na drugą stronę”, — ale to już do rzeczy nie należy. Ma or w szpitalu z ran lekkich, na szczęście, wylizał się i do Polski ruszył. Co był wart, to wieści, które o nim dochodziły, znowu poświadczyły. Z Hal erem na Ukrainę przeszedł, pod Kaniowem legię oficerską prowadził, do korpusu Muśnickiego się przedostał. Przeciw złożeniu broni przez ten korpus protestował, był między tymi kilku oficerami, co generała Muśnickiego wówczas aresztowali. Znowu się z tej opresyi wydostał, i znowu wypłynął, jako polski już major, jednej z grup na Wołyniu operującej dowódca. Powtarzało się nazwisko majora Lisa-Kuli Leopolda kilkakrotnie, aż ogłosił je jeszcze raz komunikat, ale już po raz ostatni. Padł pod Torczynem, „biorąc na siebie zadanie najbardziej odpowiedzialne i niebezpieczne”.

Odszedłeś panie majorze, w daleką, niepowrotną drogę. Nie cofałeś się, nie zwracałeś nigdy, nie wrócisz już i teraz. Nim poświęci kto Twemu przebogatemu życiu opis dłuższy, nim Cię policzą między pierwszemi bohaterami polskimi, — żegna Cię tymi kilku zdaniami żołnierz, wspomnieniem i żołnierskiem: „Cześć” Cię pozdrawiając.

Lwów, 12. marea 1919.

## ✠ Porucznik Józef Kurdyban.

Jeden z tych, co pieścili w duszy promienne ideały wolności Ojczyzny, miłości ziemi rodzinnej i jej stolicy.

Dziecko ukochanego przezeń Lwowa, dziecko od zarania w twardą szkołę życia wtłoczone Syn ubogich rodziców. Ojciec jego Paweł, podurzędnik pocztowy, w domu rodzeństwa ośmioro...

Józef, najstarszy w tej gromadce ur. 1896 we Lwowie, po skończeniu gimnazjum III. wzięty do armii austriackiej, lat parę znosił trudy wojny, na froncie włoskim, w pierwszej zawsze znajdując się linii. Tu też, przydzielony do 19. pp. zostaje wkrótce porucznikiem.

Po upadku Austrii, przeszedłszy całą gehenną drogi powrotnej, przybywa z końcem października do stron ojczystych, lecz tu, o zgrozo! zastaje u bram rodzinnego miasta, niby straszny sen — widmo, krwawe i ofiarne zapasy braci-rodaków z hajdamacką hydrą.

Bez ukojenia tęsknoty, która go na swych skrzydłach do domu, do swoich niosła, bez chwili wytchnienia i spoczynku, chwytą za oręż i staje do krwawej z najeżdźcą rozprawy, do śmiertelnych z wrogiem zapasów.



I oto porucznik Józef Kurdyban obejmuje komendę oddziału, który po trudach i znoju zdobywa Górę stracenia, lecz tu, w chwil parę po zwycięstwie, wybiegłszy po skromnym posiłku z domu Braci Tercjarzy na posterunek, pada ugodzony śmiertelnie w skroń kulą nieprzyjacielską.

Bohaterska śmierć komendanta, a działo się to dnia 4. listopada 1918 r. mrokiem żalu pada w pierwszej chwili na dusze towarzyszy jego — ale też i wnet roznieca w nich pożar siły, pragnienie odwetu i bronienia pozycyi do upadłego.

I obronili — o tem wiemy my żyjący, zaś historia pokoleniom wieść tę przekazać.

Wiódł ich cień bohaterskiego Komendanta!

Niechaj mu ziemia rodzinna, którą nade wszystko ukochał, lekka będzie, a pamięci jego cześć wieczna!

## Recenzje i sprawozdania.

### Książki.

Dr. A. Turzyma-Prus: „**Po traktacie brzeskim**“ (wyprawa bryg. Hallera). Lwów, 1919. Nakł. księgarni Zienkowicz et Chęciński.

W rocznicę czynu brygadiera Hallera ukazały się wspomnienia jednego z lekarzy „Żelaznej Brygady“. Jest to pamiętnik tętniący życiem i ze względu na dokładność i prawdziwe „sine ira et studio“ traktowanie sprawy stanowiący dokument historyczny. Swobodna forma, plastyka portretów osób działających oraz mapa ułatwiająca oryentowanie się, stanowią zalety książki będącej nie małym przyczynkiem do poznania dziejów najnowszej doby. Pamiętnik ten powinien znaleźć chętnych czytelników u publiczności, a szczególnie nadaje się do bibliotek żołnierskich dla swego prawdziwie niepodległościowego ducha.

Dzieło to nawiasem mówiąc pięknie wydane powstało w obleżonem Lwowie w jaknajgorszych warunkach wydawniczych. Jest to zasługą księgarni Generalnego sztabu. Byłoby wskazaniem by ta firma nakładcza nie stanęła w pół drogi lecz nadal starała się o przysporzenie publiczności nowych wydawnictw wojskowych.

Wn.

## Z sali koncertowej.

W niedzielę 16. b. m. odbył się w sali Towarzystwa Muzycznego, na dochód „organizacji kultury fizyczno-umysłowej żołnierzy“ koncert śpiewaczki lwowskiej opery p. Kazimiery Kościńskiej przy współudziale pianistki p. St. Czechowiczówny i zaszczytnie znanej z estrady skrzypaczki M. Trusiówny.

Umiejętnie i ze smakiem zestawiony program wykonano bez zarzutu.

P. Kościńska to dobra znajoma naszej publiczności ze sceny — o zaletach jej głosu mezo-sopranowego i umiejętności śpiewackiej nie potrzebujemy chyba się rozpisywać. Tym razem p. Kościńska dała

nam się poznać jako doskonała wykonawczyni pieśni. Odspiewała z dużym zrozumieniem i uczuciem pieśni Szopskiego, Waltera, Paderewskiego i Griega. Głos koncertantki miękki i równy, doskonałe frazowanie i deklamacya złożyły się na całość prawdziwie wykwintną.

Panna Czechowiczówna odegrała poprawnie Chopina nocturn des dur, Mazurki, Debussiego Jardiu sous la pluie i Paderewskiego Theme varie, zaś panna Trusiówna oczarowała publiczność prześliczną grą w szczególności w trudnym koncercie Goldmarka. Publiczność opuściła salę pod miłym wrażeniem.

Wn.

## Kronika.

**Gdańsk nasz!** Według doniesienia, jakie z Paryża otrzymała Agencya Lozańska pod datą 11. marca, Komisyja spraw polskich Kongresu pokojowego pod przewodnictwem ambasadora Cambone jednomyślnie przyznała Polsce Gdańsk i przyległy szeroki pas wybrzeża.

**Dwa pytania.** Z ostatniego numeru „Placówki“ dowiedziałem się nareszcie, w jakim porządku następują po sobie barwy w sztandarze polskim. Lojalnie przyznaję, że tego nie wiedział. Nie wiem jednak jeszcze, jaki odcień powinna posiadać barwa czerwona. Widzi się bowiem najrozsądniejsze odcienie: cynober, amarant i t. d. Jakaż więc jest barwa właściwa?

To pierwsze pytanie.

Może półtora roku temu wyczytałem w jednym z numerów „Głosu Narodu“ artykuł, którego autor, podpisany „(aż)“, zwracał się do fachowców z zapytaniem, jakiego orła posiada w swym herbie Polska. Widzi się bowiem orły najrozsądniejsze: z głową w prawo, z głową w lewo, orły t. zw. zygmuntofskie i t. d. Ponieważ miałem wówczas do dyspozycji tylko jeden dziennik polski, nie mogłem sprawdzić, czy kto odpowiedział wtedy w jakim dzienniku na to pytanie. W „Głosie Narodu“ nie spotkałem się z odpowiedzią.

Jakiż więc orzeł jest w herbie Polski?

To drugie pytanie.

Sądzę, że na odpowiedź czekać będzie wielu z niecierpliwością.

Porucznik I. Strycharski.

**Generał Rozwadowski na froncie.** Wojska brońące Lwowa przed nawałą ruską znalazły się w ostatnich dniach wskutek silnego ataku wojsk nieprzyjacielskich, w wyjątkowo ciężkim położeniu. Zwłaszcza zacięte były walki na linii w okolicy Gródka, gdzie Rusini skoncentrowali niemal wszystkie swoje rezerwy. Mimo tej przewagi liczebnej nieprzyjaciel nie zdołał złamać linii obronnej polskiej, a dzielni nasi żołnierze odparli wszystkie ataki. Aby wejść w bezpośredni kontakt z żołnierzem i aby zbadać pozycję, zwłaszcza ze względu na akcję od zachodu, udał się gen. Rozwadowski na front i w towarzystwie dowódcy dywizji pułkownika Sikorskiego i dowódców grup operacyjnych pułkownika Paulika i podpułkownika Fary zwiedził 16 klm. frontu. W czasie tej lustracji generał Rozwadowski wyraził uznanie tym oficerom i oddziałom, które się w czasie ostatnich walk szczególnie odznaczyły, stwierdził też rozmiary uszkodzeń na stacji kolejowej Gródek i w tem mieście. Powitanie generała Rozwadowskiego przez żołnierzy było wszędzie bardzo serdeczne.

**Polski „Biały Krzyż“.** Z inicjatywy p. Heleny Paderewskiej, małżonki prezydenta ministrów, utworzona została



w Warszawie instytucja społeczna Polskiego „Białego Krzyża”. Ma ona za zadanie obok istniejącego już państwowego „Czerwonego Krzyża”, rozwinięcie akcji społecznej i filantropijnej, zmierzającej do niesienia ulgi i pomocy żołnierzowi polskiemu oraz ofiarom wojny a więc inwalidom, jeńcom, oraz ich rodzinom. Aby osiągnąć ten cel, towarzystwo będzie dążyć do zrzeszenia stowarzyszeń instytucji, poświęcających się tym sprawom, ewentualnie podejmować inicjatywę powołania do życia nowych stowarzyszeń tego rodzaju w miejscowościach, gdzie ich brak, wreszcie nakłaniać stowarzyszenia, mające inne zadanie, do skierowania części swej działalności i środków w kierunku łącznego niesienia pomocy żołnierzom oraz ofiarom wojny. W stosunku do rozmaitych stowarzyszeń, „Biały Krzyż” zostawia im, o ile znajdują się pod jego egidą, autonomię wewnętrzną i udziela im prawa używania obok własnych nazw i godeł emblematów „Białego Krzyża”. W zakresie potrzeb gospodarczych „Biały Krzyż” organizuje masowy zakup produktów i towarów wszelkiego rodzaju, potrzebnych poszczególnym stowarzyszeniom „Białego Krzyża” i w tym celu będzie utrzymywać własne magazyny i składy.

Koła „Białego Krzyża” mogą być zawiązywane w każdej miejscowości z chwilą, gdy zrzeszy się 30 osób. Członkowie wspierający płać 50 fen. miesięcznie, zwyczajni 25 fen. a dożywotni 500 marek jednorazowo. Obecnie, po uoństytuowaniu się zarządu, działalność „Białego Krzyża” rozwinię się niewątpliwie na szeroką skalę. Zapewne znajdzie też instytucja ta i w naszej dzielnicy szerokie koła zwolenników.

**Szkody wojenne Galicji.** Kraj. Urząd odbudowy ukończył niedawno opracowanie galicyjskich szkód wojennych, prowadzone na podstawie uchwały Tymcz. Kom. rządzącej we Lwowie, w porozumieniu z Biurem prac kongresowych przy ministerstwie spraw zagranicznych w Warszawie, ze względu na to, że obliczenie to będzie prawdopodobnie służyć za podstawę roszczeń odszkodowawczych, jakie państwo Polskie podniesie na kongresie pokojowym, oraz przy likwidacji stosunków Galicji z b. monarchią austriacko-węgierską.

Na podstawie szczegółowych badań, opartych statystycznych danych Kraj. Urzędu odbudowy oraz na szeregu innych władz i korporacji, osiągnięto możliwie pewne wyniki, które wyrażają się łącznie w cyfrze **17.224.000.000 kor.** Z poszczególnych rubryk najpoważniejszą stanowią budynki, których uszkodzenie łącznie ze zniszczeniem znajdujących się w nich ruchomościach domowych, oceniono na około  $7\frac{1}{2}$  miliarda koron. Bardzo poważnie przedstawiają się także szkody w lasach, przekraczające  $1\frac{1}{2}$  miliarda koron; niespełna po  $1\frac{1}{3}$  miliarda kor. wynoszą szkody w rolniczym inwentarzu żywym i martwym, przemyśle wielkim i średnim, rękodziele i handlu. Oczywiście cyfra powyższa nie wyczerpuje całego ogromu szkód, jakie Galicja wskutek wojny poniosła. Zgodnie mianowicie z założeniem pracy K. U. O. nie uwzględniono w jego obliczeniach ani idących w miliardy, nie wyrównanych dotąd świadczeń wojennych, ani t. zw. szkód pośrednich, dla których zestawienia brak było dość pewnych podstaw.

**W niewoli ukraińskiej.** Jeden z żołnierzy polskich, wzięty do niewoli ukraińskiej w pobliżu Dydiatycz, który następnie szczęśliwie zbiegł, opowiada, że w barakach w Koloymy na Kosaczowie umieszczono jeńców w izbach zupełnie nieopalanych, gdzie musieli spać na gołych deskach, bez koców do nakrycia. Ubrania i buty jeńcom zabrano, jedzenie dawano strasznie marne i w minimalnych porcjach. Męczono dalej nieszczęśliwych jeńców nieustannymi rewizjami w barakach, przyczem zabierano wszystko, co tylko jeńcy mieli

przy sobie. Bardzo często dopuszczano się przy tej sposobności gwałtów, bito jeńców nahajkami i okrutnie się znęcano. — Podobny los jest udziałem i jeńców cywilnych.

**Ku czci bł. p. A. Garfeina.** Komitet dla uczczenia bł. p. Adama Garfeina, podporucznika Wojsk Polskich, uprasza wszystkich, którzyby mieli jakiekolwiek daty, dotyczące się życiorysu i działalności Zmarłego (w szczególności z czasów walk o Lwów) o nadsyłanie tychże pod adresem: Dr. Aleksander Kohl, Lwów, ul. Jagiellońska l. 24, I. piętro.

**O zwrot łusek nabojoych.** Komenda miasta i placu ogłosiła następującą odezwę:

W posiadaniu osób prywatnych znajduje się znaczna ilość łusek karabinowych, działowych, magazynów i granatów ręcznych. — Wzywa się ludność, ażeby wszystkie wymienione powyżej części składowe amunicji tak karabinowej jak i działowej, oraz amunicję nie wystrzeloną i jej części oddać jak najrychlej do rozporządzenia Władz wojskowej (Komenda miasta ul. Wałowa 16) lub do M. S. O.

Ludność miasta Lwowa, która w czasie długiego oblężenia naszego grodu, wśród bardzo ciężkich warunków złożyła tak imponujące dowody ofiarności, spełni niezawodnie z ochotą i ten powyżej wskazany obowiązek, ułatwiając w ten sposób Władzom wojskowym jedno z najważniejszych zadań.

Wymienione powyżej części składowe amunicji należy składać w najbliższej strażnicy M. S. O., gdzie oddawca otrzyma pokwitowanie z potwierdzeniem ilości i jakości dostarczonych przedmiotów. Przechowujący amunicję, łuski i naboje podlegają karze 5 do 10 tysięcy koron. Kara za jedną łuskę karabinową wynosi 2 korony. Rodzice i opiekunowie są odpowiedzialni za dzieci, pozostające w ich opiece. W razie niemożności zapłacenia kary dany osobnik podlega aresztowi.

Równocześnie przypomina się obowiązek zgłaszania pocisków, które nie wybuchły. Pociski takie powinny być zabezpieczone, ażeby uchronić ludność od wypadku przez nieostrożność lub przypadkowe ich dotknięcie. — Zgłaszać się należy do Władz wojskowych lub w strażnicach M. S. O. We własnym interesie należy usunąć z domu jak najrychlej te niebezpieczne środki wybuchowe, zagrażające życiu waszemu i członkom waszych rodzin. — Zastępca komendanta miasta: Kapitan *Ramult*.

**Sekwestracja dóbr b. arcyks. Karola Stefana.** Ministerstwo rolnictwa ogłosiło w „Monitorze” ustanowienie zarządu państwowego nad dobrami b. arcyks. Karola Stefana Habsburga, położonemi na terytorium b. zaboru austriackiego. Chodzi o dobra Bestwina i Porąbka w powiecie bialskim, Maków w myślenickim i Żywiec w żywieckim.

**Nadmiar tytoniu.** Ceny na tytoń w Europie były wysokie podczas wojny i utrzymują się na tej wyżyźnie nie tyle wskutek braku tytoniu, ile wskutek trudności przewozowych. Ogromna produkcja tytoniu w Indjach Holenderskich jedynie częściowo mogła być przewożona do Holandii i musiała poszukiwać nowych rynków. Stany Zjednoczone nie mogły, czy nie chciały dowozić tytoniu. Skutkiem tego jest nagromadzenie ogromnych zapasów tytoniu w krajach produkujących tytoń. W Indjach Holenderskich leżą dotychczas olbrzymie zapasy tytoniu zbiorów 1916 r. Wprawdzie tytoń nie jest produktem pierwszej potrzeby i dlatego też może być dowieziony do Europy dopiero po zbożu — ale za to wymaga o wiele mniej tonnażu. W każdym razie natychmiast po uregulowaniu spraw przewozowych ceny spadną. Co się tyczy Ameryki Południowej i Środkowej dostarczyły one dotychczas w czasie wojny stosunkowo mało tytoniu. Nie ulega wątpliwości, że i tam również nadmiar tytoniu jest bardzo znaczny.

Dla palących miłe horoskopy. Byłe tylko rosa nie wyżyła oczu, zanim nadejdzie tytoń.



**Rekord techniki lotniczej.** „Matin“ donosi, że technik francuski Ratenau wynalazł nowy typ aeroplanu o niesłychanej chyżości i zdolności wzbijania się do wyżyn dotąd niedostępnych. Drogę z Paryża do Algieru przebyć będzie można takim samolotem w pięciu a do Kairu w 11 godzinach.

**Fundusz dla inwalidów obrońców m. Lwowa im. Dr. Kazimierza Hartleba:** 1) P. Orłowski 20 K., 2) P. B. W. 85 K. 50 gr., 3) P. K. W. P. J. K. 206 K. 90 gr.  
**Razem: 312 K. 40 gr.**

## Rozkazy i rozporządzenia.

### Warunki zwolnienia z wojska.

Ministerstwo spraw wojskowych ogłosiło następujący rozkaz:

Aż do czasu zorganizowania wszędzie Okręgowych powiatowych Komend Uzupełnień i wydania nowych w tej mierze przepisów, tymczasowo prawo zwalniania z wojska żołnierzy (aż do podchorążego włącznie) przysługuje wyłącznie DOG., co do wszystkich oddziałów, urzędów, zakładów i instytucji wojskowych, rozlokowanych na obszarze danego DOG. Prawo zwalniania z oddziałów znajdujących się na linii bojowej, poza obszarem Okręgów Generalnych położonych, należy do tego D. O. Gen., z którego oddział na front przybył.

Zwolnienie żołnierza z wojska może nastąpić z trzech powodów: 1) niezdolności do służby ze względu na stan zdrowia (z rentą, lub bez); 2) uzasadnionej reklamacji ze strony instytucji lub rodziny; 3) orzeczenia sądu, iż dana jednostka zd względów moralnych do wojska się nie nadaje.

Procedura zwalniania z wojska ma mieć przebieg następujący:

W wypadku 1. Orzeczenie lekarza danego oddziału co do niezdolności do dalszej służby wojskowej żołnierza (na odpowiednim formularzu) wraz ze wszystkimi jego dokumentami osobistymi przysyła dowództwo oddziału wprost do tego dowództwa okręgu generalnego, na terenie którego dany oddział jest rozlokowany.

Przy każdym Okręgu Generalnym ma być utworzona Komisja Superrewizyjna, składająca się z 2 lekarzy i 1 oficera, która po otrzymaniu orzeczenia lekarza oddziału na określony termin wzywa żołnierza do ogólnego lekarstwa i wydajd ostateczne orzeczenie co do zwolnienia.

Dowództwo Okręgu Generalnego po dokonaniu zwolnienia zawiadamia natychmiast oddział, zarząd, względnie instytucję wojskową, do której zwolnieni należą.

Jeśli prosba o zwolnienie zostanie odmownie załatwiona, żołnierz ma być odesłany z powrotem t. j. do swego oddziału.

W wypadku 2. Prośba o zwolnienie, jaka wpłynie do oddziału ze strony instytucji lub rodziny, ma być przedłożona w drodze służbowej wraz z oświadczeniem się dowódcy oddziału w tej sprawie i wyciągiem ewidencyjnym żołnierza do D. O. Gen., na obszarze którego oddział jest rozlokowany.

W wypadku 3. D. O. Gen. po otrzymaniu od dowódcy oddziału aktów sądowych wraz z decyzją sądu orzekającą zwolnienie, zatwierdzoną przez zwierzchnią sędzię, sprawy już nie bada tylko przeprowadza zwolnienie ze strony formalnej.

Dokumenty, stanowiące we wszystkich 3 wypadkach podstawę zwolnienia, tudzież wszystkie dokumenty osobiste zwolnionego, mają być odesłane do tej P. K. U., której zwolniony w swoim czasie do wojska się zaciągnął, lub w obrębie której obrał sobie stałe miejsce zamieszkania.

## XVI. Lista ofiar

walk za czas od 21—26 stycznia 1919.

Objaśnienia: pp. pułk piechoty, k. kompania, km. karab. maszyn., lr. lekko ranny, cr. ciężko ranny, ch. chory, z. zagniony, n. w niewoli.

Abdermann Ludwik podch. 1 p p strz r, Abramowicz Hipolit ch, Adamaszek Jan p. ziemi wadów r, Adamczewski Franciszek 10 p p 3 b r, Adamczyk Henryk 6 p p 2 k ch, Adamiak Grzegorz sekc. 3 b 2 k ch, Adamski Stanisław 4 p p 3 k r, Adler Teofil sekc. p p ziemi wadów km, Ambrosiewicz Wojciech por. 5 p ch, Ambrosiewicz Tadeusz podch. 36 p p r, Ambrosiewicz Kazimierz 1 p ch, Andres Józef 4 p p 1 k ch, Andrusiak Ludwik 2 p strz lw, Andrysak Józef Ukr. ch, Aniszewski Feliks 30 p p 7 k ch, Anton Ludwik p. kolej 5 k ch, Asman Zygmunt 1 p strz 6 k †, Augapfel Osyas 4 p p 1 k ch, Augustyniak Adam 10 p p 3 b †, Aurzecki Władysław 3 b strz 2 k r, Ausenberg Zygmunt 1 b strz †, Baczynski Łucjan 2 p p 1 b ch, Baczynski Włodzimierz sekc. km zand ch, Bajek Stanisław 1 p p 2 k ch, Bajer Franciszek 24 p p r, Bajkowski Tadeusz 36 p p 3 k ch, Bajorek Edward 30 p p ch, Balbicki 2 p p km †, Balcarek Adolf 3 p ziemi ciesz r, Baliga Jan esk. lotn 3 ch, Balik Kazimierz 1 p strz 3 k ch, Balzaire Franchet sekc. 4 p p 5 k ch, Bałuk Antoni 3 k km r, Banaś Szymon 10 p p r, Banaszek Jan 2 p 3 k ch, Banddis Leopold 2 p p 9 k r, Bania Michał 2 p strz lw r, Baran Władysław 10 p p 9 Baran Jan 4 p p 2 k ch, Baranowski Tadeusz 1 p p 6 k z, Barański Bronisław 10 p p 9 k r, Bardel Zbigniew 2 p art cr, Bardowski Grzegorz załog dworca ch, Barszczyński Antoni 2 p p ch, Bartak Józef ods Lwowa ch, Bartmanowski Alfons warst art ch, Bartoszewski Stefan 2 p p 3 k r, Bartosz Alojzy podp. 3 b strz 3 k r, Baryła Jan 4 p p ch, Baszak Franciszek 3 b strz ch, Bator Jan 5 p p 12 k ch, Bąk Jan 2 p p art 2 bat ch, Bdachowski Stefan 4 p art 4 bat r, Bednar Wiktor 1 p p strz 4 k ch, Bednarski Franciszek 5 p p 7 k ch, Bednarczyk Antoni 2 p p 9 k r, Begajski Edward 4 p art 4 bat ch, Belan Maksymilian 2 p p 11 k ch, Bem Ryszard ods Lwowa Benedykcak Adam 2 p p ch, Benilius Zygmunt 2 p p 5 k lr, Bereza Tomasz 4 k radom ch, Bordowski Tadeusz sekc, telegr ch, Bordowski Grzegorz 1 k etap ch, Berger Wacław 4 p p 3 k połączony, Będkowski Józef 5 p p 4 k ch, Bętkowski Stanisław komp pow ch, Bidas Władysław 24 p p r, Biegański Kasper 3 b 1 k ch, Biegański Kasper 1 b warsz ods ch, Bielski Zygmunt 1 b warsz ch, Bielski Władysław 2 p p 2 k ch, Biernakiewicz Antoni arezt ch, Bill Stanisław komp Lisko ch, Bilmu Iren 1 p strz sanit ch, Biodrowicz Leon 3 b strz ch, Bissinger Józef ppor. 1 b strz 3 k r, Błaszczak Józef 5 p ul 2 szw ch, Błaszowski Wacław 3 p p 3 k ch, Błaszczak Leon 11 p art 1 bat z, Błażejczyk Stanisław 2 p p ch, Błażewski Władysław 10 p p 3 k †, Błoński Władysław 1 b 3 k km ch, Bobak Stanisław 2 p p 1 b ch, Bobak Stanisław 2 p p 1 b ch, Bobola Stanisław sierż. 5 p p 3 k ch, Bobrowski Adam 1 p p 9 k r, Bochmacki Stanisław 1 p art ch, Boczar Paweł 3 b strz ch, Boczkowski Jakób 10 p p 3 b r, Bogacki Aleksander 1 p art prow ch, Bogacki Tadeusz st. z. ods Lwowa r, Bogacki Walenty 1 b warsz ods r, Bogacz Jan 4 p p †, Bogur Józef 10 p p 3 b r, Bogusław Tadeusz 5 p p 7 k ch, Bohrer Berthold 4 p 7 k oddz rob r, Bojarska Józefa 1 p strz 7 k z, Bohstef st. z. 36 p p ch, Bolek Franciszek p. ziemi ciesz r, Bonicz Wasyl Ukr. ch, Bonter Stanisław 2 p p 3 k r, Borecki Władysław milic. r, Borek Franciszek 7 p p cr, Borkowski Jan sekc. 5 p p 1 k ch, Borkowski Janusz sekc. 3 p p 1 k ch, Borkowski Czesław ch, Borowiec Tomasz Ukr. ch, Borych Jan p. ciesz r, Braliński Stanisław sekc. p. panc r, Braszkievicz Stanisław 1 p lwow r, Breyer Franciszek plut. 1 b strz 2 k r, Brożek Franciszek 1 b strz z, Brych Jan p. ziemi ciesz r, Bryl Jan p. kolej 3 k ch, Bryndza Jan zand ch, Bryś Stanisław 10 p p, Brzeziński Jan podpułk. ch, Brzostowski Andrzej 5 p p ch, Buca Tomasz 3 b strz r, Buch Stanisław 1 k sap ch, Buchelt Władysław 2 p p 9 k ch, Buezek Emil plut. 1 b warsz ch, Buczka Stanisław 9 p p 6 k ch, Buczkowska Marya 1 p strz z, Budziarek Kazimierz 1 b warsz r, Budziński Stefan 5 p p szturm k. ch, Bujalski Dr Bolestaw 2 p strz r, Buk Jakób sierż. art ch, Burczyk Józef ppor. 2 p strz †, Burczyk Piotr ppor. 2 p strz r, Burdyn Stanisław podch. b strz ch, Burmat Michał 10 p p ch, Burzyński Stanisław 3 p art ch, Burzyński Wacław 36 p p r, Buszta Stanisław 9 p p 2 k, Bystrzyński Władysław 3 b ch, Brówka Antoni 3 b strz r.

(Ciąg dalszy nastąpi).

